

DOŁĘGA-MOSTOWICZ
TADEUSZ

PROFESOR WILCZUR

Dołęga-Mostowicz Tadeusz

Profesor Wilczur

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23521146

Profesor Wilczur:

Аннотация

Wydawać by się mogło, że po wielu perturbacjach życie Rafała Wilczura będzie już tylko pasmem sukcesów – w końcu odzyskał pamięć, odnalazł córkę i ponownie objął stanowisko ordynatora. Nic bardziej mylnego. Są ludzie, których nie cieszy jego powrót i gotowi są na wszystko, żeby się go pozbyć. Zmęczony, wybitny chirurg decyduje się na powrót na wieś. Profesor Wilczur to emocjonująca kontynuacja losów bohaterów Znachora – przed nimi intrygi, nagłe zwroty akcji, nie zabraknie też wątków romantycznych. Powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, autora Kariery Nikodema Dyzmy, cieszyły się ogromną popularnością – wiele z nich zostało zekranizowanych. W latach trzydziestych powstała filmowa trylogia o losach Rafała Wilczura, której dwie pierwsze części, Znachor i Profesor Wilczur, oparte były na książkach, a trzecia, Testament profesora Wilczura, na scenariuszu, napisanym specjalnie przez samego Dołęgę-Mostowicza. Niestety, nie zachowała się żadna kopia tego filmu.

Содержание

Rozdział I	4
Rozdział II	14
Rozdział III	35
Rozdział IV	57
Rozdział V	79
Rozdział VI	94
Конец ознакомительного фрагмента.	131

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Profesor Wilczur

Rozdział I

Profesor Jerzy Dobraniecki powolnym ruchem odłożył słuchawkę i nie patrząc na żonę, powiedział pozornie obojętnym tonem:

– W sobotę mamy ogólne zebranie Związku Lekarzy.

Pani Nina, nie spuszczać zeń oczu, zapytała:

– I czegoż jeszcze chciał Biernacki? Bo to on telefonował?

– Ach, drobiazg. Pewne kombinacje organizacyjne – machnął ręką Dobraniecki.

Zbyt dobrze znała męża, by maska obojętności na jego twarzy była dla niej nieprzenikniona. Przeczowała, że oto znowu spadł na jego głowę jakiś cios, że oto znów poniósł klęskę, a przynajmniej dotkliwą porażkę, że oto znowu spotkało go niepowodzenie, które chce przed nią ukryć.

Ach, ten słaby człowiek, ten człowiek, który nie umie walczyć, który pozycję po pozycji oddaje innym i coraz bardziej spychany jest w cień, w szare szeregi drugoplanowych lekarzy. Nienawidziła go prawie w tej chwili.

– O co chodziło Biernackiemu? – zapytała z naciskiem.

Wstał i chodząc po pokoju, zaczął mówić tonem

wyrozumiałej perswazji:

– Zapewne... Oni mają rację... Należy się to Wilczurowi... A i mnie odpoczynek. Przez tyle lat byłem prezesem związku... A przy tym nie możemy zapomnieć, że Wilczurowi należy się jakaś rekompensata moralna za wszystkie jego nieszczęścia...

Pani Nina zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem. Jej wielkie, zielone oczy błysnęły pogardliwą ironią. W skrzywieniu ust, tych pięknych ust, których wizji nie mógł się pozbyć nawet podczas swej pracy, zarysowała się linia niemal wstrętu:

– Rekompensata?... Ale już od dawna otrzymał ją z nadwyżką! Chyba jesteś ślepy! Odbiera ci jedno stanowisko po drugim. Wydarł ci kierownictwo lecznicy, słuchaczy, pacjentów, dochody... Rekompensata!

Dobraniecki zmarszczył brwi i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

– Wszystko to mu się należy. Wilczur jest wielkim uczonym, genialnym chirurgiem.

– Tak, więc czymże ty jesteś? Gdy przed sześciu laty wychodziłam za ciebie, wierzyłam, że ty sam myślisz, iż jesteś najlepszym chirurgiem i sławą w nauce.

Dobraniecki zmienił ton. Oparł się o brzeg biurka, pochylił się nad żoną i zaczął łagodnie:

– Kochana Nino, musisz przecież zrozumieć, że są pewne gradacje, jest pewna hierarchia, są różne stopnie uzdolnień i wartości ludzkich... Jakże możesz mi robić zarzut z tego, że mam dość samokrytycyzmu, by ocenić, że Wilczurowi ustępuję

i muszę ustępować pod wielu względami?... A zresztą...

– Zresztą – wpadła mu w słowo – nie mamy o czym mówić. Znasz dobrze moje zdanie w tej materii. Jeżeli tobie brak ambicji i woli zwycięstwa, ja mam jej aż nadto. Nie pogodzę się z rolą żony jakiegoś zera. I ostrzegam cię, że jeśli dojdzie do tego, że w końcu będziesz zmuszony przenieść się na praktykę do jakiegoś Pikutkowa, ja z tobą nie pojadę.

– Nino, nie przesadzaj.

– O, bo na tym się skończy. Myślisz, że nie wiem. Już teraz Wilczur forytuje docenta Biernackiego. Zepchną cię na sam dół! Ja nie mam za co wykupić mego futra od kuśnierza! Ciebie to oczywiście nic nie obchodzi, ale ja tego nie ścierpię, ja nie jestem stworzona do tego, by być żoną jakiegoś nędzarza. I ostrzegam cię...

Nie dokończyła, lecz w głosie jej zabrzmiała aż nazbyt wyraźna groźba.

Profesor Dobraniecki powiedział cicho:

– Nie kochasz mnie, Nino, nigdy mnie nie kochałaś...

Potrząsnęła głową.

– Mylisz się. Ale kochać mogę tylko prawdziwego mężczyznę. Prawdziwego, to znaczy walczącego, zwycięskiego, takiego, który nie zna granic ofiarności dla swojej kobiety.

– Nino – odezwał się z wyrzutem w głosie. – Czyż nie robię wszystkiego, co w mojej możliwości?

– Nic nie robisz. Jesteśmy coraz biedniejsi, coraz mniej z nami się liczą, jesteśmy usuwani w cień. A ja nie jestem stworzona do

życia w cieniu i pamiętaj, że cię o tym ostrzegłam!

Wstała i skierowała się do drzwi. Gdy już miała rękę na klamce, zawołał:

– Nino!

Odwróciła głowę. W jej oczach, które przed chwilą jeszcze jarzyły się gniewem, dostrzegł przerażający chłód.

– Co mi chcesz jeszcze powiedzieć? – zapytała.

– Czego ode mnie żadasz?... Jak mam postępować?...

– Jak?...

Zrobiła trzy kroki ku niemu i powiedziała dobitnie:

– Zniszcz go! Usuń z drogi! Stań się tak bezwzględny jak on, a potrafisz zachować swoją pozycję!

Zatrzymała się przez chwilę i dodała:

– I mnie... Jeżeli ci na tym zależy.

Gdy został sam, opadł ciężko na fotel i zamyślił się. Nina nie rzucała nigdy słów na próżno. A tak dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że ją kocha, że bez niej życie straciłoby dlań cały urok i całą wartość. Gdy przed sześciu laty prosił o jej rękę, mógł uważać, że nie prosi o łaskę. Wprawdzie bowiem był znacznie starszy od niej, ale znajdował się w pełni powodzenia, rozgłosu, ba, sławy. No i zdrowia.

Ostatnie trzy lata i pod tym względem odbiły się na nim fatalnie. Niepowodzenia zawodowe i pieniężne poderwały system nerwowy. Ukrywał wprawdzie przed Niną powtarzające się coraz częściej ataki wątrobiane, ale nie mógł ukryć ich skutków. Tył coraz bardziej, źle sypiał, na obrzmiałej twarzy

wystąpiły zielonkawe worki pod oczyma.

Nina nawet nie domyślała się, jak ciężko przeżywa swoje porażki. Zarzucała mu brak ambicji, jemu, który przez całe życie właśnie ambicją tylko się kierował, którego ambicja wyniosła na szczyty!

Upadek zaczął się owego fatalnego dnia, gdy odnaleziono, gdy on sam odnalazł zaginionego profesora Rafała Wilczura. Jakże dobrze pamiętał ten dzień! Mroczna sala sądowa i na ławie oskarżonych brodaty chłop w zniszczonej sukmanie, znachor, wiejski znachor z dalekich kresów, sądzony za niedozwolone praktyki, za operacje przeprowadzane przy pomocy prymitywnych, zardzewiałych narzędzi ślusarskich, za operacje, które uratowały życie wielu biednym chłopom na zapadłej wsi...

Znachor...

Profesor Jerzy Dobraniecki pierwszy i jedyny poznał w nim swego dawnego szefa i nauczyciela, profesora Rafała Wilczura, po zaginięciu którego w ciągu lat kilkunastu stopniowo, lecz stale zajmował, zdobywał i osiągał jego stanowiska w nauce, w praktyce i w życiu.

Czyż miał wtedy prawo zataić swoje odkrycie, czyż miał prawo tym samym skazać Wilczura na dalszą wegetację w nędzy i w nieświadomości własnej osobowości, nazwiska, tytułów, pochodzenia?... Dziś profesor Dobraniecki nie chciał zastanawiać się nad tym. Wiedział jedno: ów pamiętny dzień przed trzema laty stał się przekleństwem jego życia.

Rafał Wilczur łatwo wyleczył się z wieloletniej amnezji. Pamięć odzyskał tak szybko, jak ją niegdyś utracił, a wraz z pamięcią odzyskał wszystko to, co było jego światem przed tragicznym wypadkiem. Powrócił na swoją katedrę, przy czym Dobraniecki w zamian otrzymał drugorzędną, objął kierownictwo lecznicy, a także uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej, a głośne jego odnalezienie jeszcze więcej przysporzyło mu sławy. Sławy, pieniędzy, zaszczytów.

Ot, i dziś znowu domagano się od Dobranieckiego, by dobrowolnie ustąpił z prezesury związku i zaproponował kandydaturę Wilczura, która może liczyć na przyjęcie przez aklamację. Tak, oni wszyscy uważają to za rzecz zupełnie zrozumiałą. Oni, to znaczy koledzy, oni, to znaczy pacjenci, oni, to znaczy słuchacze wydziału medycznego. Dla nich wszystkich jest rzeczą oczywistą, że prymat należy się Wilczurowi. I przecież on sam, Jerzy Dobraniecki, przed chwilą powiedział żonie, że i on to uznaje.

Ale to nie była prawda.

Wszystko w nim buntowało się przeciw rzeczywistości, przeciw konieczności ustawicznego rezygnowania ze zdobytych pozycji. Im bardziej przyginały go do ziemi niepowodzenia, tym prężniej i potężniej rósł w nim gniew, rosła rozpacz, rosła nienawiść. I dlatego bał się rozmów z Niną na ten temat. Bał się, by z jej namiętnej i niepohamowanej natury nie przerzuciła się iskra wybuchu na zgromadzone w nim pokłady buntu.

A gromadziło się ich coraz więcej. Dziś Nina po raz pierwszy

powiedziała mu wyraźnie, powiedziała mu bezlitośnie, że nie ma za co wykupić futra. Wprawdzie miała ich wiele i bez nowego mogłaby się doskonale obyć, ale pomimo to jej słowa odczuł jak policzek. Przecież dumny był z tego, że nie odmawiał jej nigdy niczego, że zasypywał ją kosztownymi podarkami, że dla niej kupił ten pałacyk we Frascati, że dla niej trzymał liczną służbę, luksusowe samochody, że dla niej wydawał wspaniałe przyjęcia. Może nie tylko dla niej, może i dla siebie, ale w tym bogactwie największą rozkosz znajdował wtedy, gdy w jej oczach odnajdował ów znany błysk dumy, dumy z panowania, dumy z pierwszeństwa, jakie zapewniało jej w świecie stanowisko i sława męża.

Nina... Utracić ją... To byłoby dla Dobranieckiego wręcz niepodobieństwem, a wiedział, że jeżeli nie stanie się jakiś cud, katastrofa będzie nieunikniona. Od trzech lat nieustannie topniały jego dochody, natomiast nigdy nie mógł się zdecydować na zmniejszenie stopy życiowej swego domu. Jeżeli brak pieniędzy zmuszał go do ograniczeń, ograniczał właśnie wydatki, starając się to ukryć przed żoną. Pracował coraz więcej, przyjmował coraz więcej operacji, nie gardząc nawet drobnymi honorariami, które kapały mu często nawet ratami od prawie niezamożnych pacjentów. Jednocześnie długi rosły. Na hipotekę pałacyku trzeba było zaciągnąć poważną pożyczkę, lecz nie było z czego płacić procentów.

„Mniejsza zresztą o to – myślał ponuro. – Umiałbym się z tym pogodzić, a nawet przenieść się do jakiegoś skromnego

mieszkania, gdyby Nina mogła to przyjąć bez dramatu”.

Sam Dobraniecki bardziej cierpiał nad utratą swojej wysokiej pozycji w świecie, którą, jak zdawało mu się, zdobył na zawsze podczas nieobecności Wilczura.

Nie dalej jak wczoraj przeżył nowe upokorzenie. Na wykład nie stawił się ani jeden student. Uciekł z auli, jakby go goniły szydercze spojrzenia pustych ścian. Bliski był myśli o samobójstwie. Skończyło się na bolesnym ataku wątrobianym i później przez cały dzień szumach w uszach po nadmiernych dawkach belladonny. Na szczęście dnia tego miał szereg łatwych i prostych operacji, które nie wymagały szczególniejszego napięcia uwagi i inwencji i udały się zupełnie.

– Zniszcz go...

Tak powiedziała Nina. Zaśmiał się krótkim, smutnym śmiechem. Jakże mógł zniszczyć Wilczura!... Czy na korytarzach uniwersyteckich łapać studentów za poły, by ściągać ich na swoje wykłady, czy mścić się na tych młodych lekarzach, którzy wolą asystować przy operacjach w klinice Wilczura, czy wykradać mu bogatych pacjentów, bo przecie konkurencja i tak tu nie skutkowałą, chociaż wszyscy wiedzieli, że Dobraniecki znacznie taniej bierze za operacje i – o wstydzie – poniża się do ustępstw w cenie. Spojrzał na zegarek. Zbliża się piąta. Dziś był dzień przyjęć Niny. Niedługo zaczną schodzić się goście. Coraz mniej gości. Ich salon stawał się coraz mniej atrakcyjny dla znajomych. Tłumniej bywało tylko wówczas, gdy uprzednio rozchodziła się wieść, że przyjdzie profesor Wilczur...

– Zniszcz go – powiedziała Nina.

Zniszczyć Wilczura to znaczyło zniszczyć jego sławę, to znaczyło zniszczyć wiarę pacjentów w nieomylność jego diagnozy, w niechybność jego ręki.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Były i inne sposoby. Sposoby mrówczej, a raczej kreciej pracy podrywania, żmudnego podkopywania tej wiary przy pomocy wykorzystywania tych słabości, które pozostały Wilczurowi z okresu jego amnezji. Lecz Dobraniecki brzydził się takimi środkami walki. Wiedział, że Wilczur zachował ze swojej praktyki znachorskiej szczególniejsze zamięłowanie do różnych ziół i maści wątpliwej wartości, wiedział jednak również, że owe prymitywne środki nie mogą wyrządzić szkody chorym i nie pochwałał postępowania Niny, która wyzyskiwała każdą sposobność, by wyśmiewać się z tego znachorstwa i używać wszystkich swoich uroków, by zarazić własną ironią różnych młodych, a bawiących w ich domu lekarzy.

Uprawiana przez nią w ten sposób agitacja przeciw Wilczurowi dawała jednak pewne nikłe rezultaty. Po szpitalach i klinikach zaczęły krążyć liczne anegdoty, w których, gdy do niego docierały, Dobraniecki poznawał złośliwy dowcip swojej żony. Najmłodszy narybek lekarski z właściwą swemu wiekowi niechęcią do wszystkiego, co nie tchnie nowoczesnością, chętnie podchwytywał te ironiczne nuty, by przez umniejszenie prestiżu uznanego mistrza podnieść własny. Zdarzało się też czasem, że tacy właśnie kategorycznie odradzali swym pacjentom wzywania

na konsylia Wilczura, lecz były to wypadki rzadkie.

Przed paru tygodniami w kilku dziennikach warszawskich ukazały się wzmianki i felietoniki wykorzystujące materiał anegdotyczny. Nie podawano tam wprawdzie nazwiska Wilczura, ale i tak wszyscy łatwo mogli się domyślić, o kogo chodzi. O autorstwo tych rzeczy Dobraniecki również, i nie bez słuszności, posądzał Ninę. W ostatnich czasach spotykał w domu kilku dziennikarzy, którzy przedtem u nich nie bywali. Nagłe zainteresowanie się Niny ludźmi z prasy nie mogło ujść uwagi Dobranieckiego.

Nie tylko niesmak wzbudzała w nim cała ta akcja Niny. Wzbudzała w nim również i smutne przeświadczenie o bezsilności tych półśrodków w walce o byt.

– Zniszcz go – powiedziała – jeżeli zależy ci na mnie...

Dobraniecki przygryzł wargi i zatrzymał się przy oknie. Przez nagie gałęzie jesiennych drzew przeświecały gęste, białe światła latarni, coraz jaskrawsze w gęstniejącym mroku. Dalekie miasto mrucało jednostajnym szumem. W pobliżu na mokrym asfalcie zaświergotały pneumatyki i przed drzwiami pałacyku zatrzymał się samochód.

Pierwsi goście. Należało się przebrać.

Rozdział II

Profesor Wilczur umilkł na chwilę. Jego oczy z wolna przesuwają się przez wypełnioną po brzegi aulę. Panowała zupełna cisza. Czuł w tym audytorium, że każde jego słowo trafia wprost do serc, że każde serce odpowiada mu żywym oddźwiękiem.

– Bo powołanie lekarza – zabrzmiał znów jego głos – jest tworem tej największej i najszczytniejszej miłości, miłości bliźniego, jaką Bóg zasiał w naszych oschłych sercach. Powołanie lekarza to wiara w braterstwo, to szczytne świadectwo wspólnoty ludzkiej. I gdy pójdziecie w świat, by swe posłannictwo pełnić, pamiętajcie przede wszystkim o jednym: kochajcie.

Stał jeszcze chwilę nieruchomy i milczący, później uśmiechnął się, lekko skinął głową i swoim ciężkim, sprężystym krokiem wyszedł z auli.

Ileż to razy, ileż setek razy po skończonym wykładzie przemierzał ten szeroki korytarz, goniony głośnie falą wrzawy, która wybuchała w auli po jego wyjściu. Ale dziś nie był to zwykły wykład i nie o zwykłych rzeczach mówił profesor Wilczur swoim słuchaczom. I sam nie był w zwykłym nastroju.

W ciągu ostatnich tygodni docierały do niego coraz dłań dziwniejsze i coraz boleśniesz wiadomości. Pierwotnie zaskoczyły go tak dalece, że nie mógł się w nich zorientować.

Wydały mu się czymś przypadkowym, niezrozumiałym, wręcz absurdalnym. Nie dlatego, że dotyczyły jego osoby: gdyby podobnie uwłaczające rzeczy opowiadano o profesorze Dobranieckim, o doktorze Rancewiczu, Biernackim czy bodaj o młodym Kolskim, wstrząsnęłoby to Wilczurem równie silnie.

Do dziś dnia nie chciał i nie mógł uwierzyć, by ta kampania oszczerstw przeciw niemu była akcją zorganizowaną i wychodziła z jednego źródła. Nie wierzył, gdyż nie miał przecie wrogów. Nikomu zła nie życzył, nikomu krzywdy nie wyrządził. Przez całe swoje życie wierny był tym wskazaniom, którymi zakończył dzisiejszy wykład.

– To niemożliwe – powtarzał sobie idąc jasnym korytarzem.

Dopiero przed drzwiami dziekanatu spojrzął na zegarek. Była jedenasta. W pierwszym pokoju ku swemu zdumieniu zobaczył kilku nieznanym sobie panów. Wstali, gdy wszedł, a sekretarz objaśnił:

– Właśnie to panowie z prasy. Chcieli prosić pana profesora o wywiad.

Wilczur uśmiechnął się.

– Jeszcze panom mało? Sądziłem, że po trzech latach już wreszcie zdołaliście nasycić ciekawość waszych czytelników. Zanudzicie ich moją osobą i moimi przeżyciami.

– Nie, panie profesorze – odezwał się jeden z dziennikarzy. – Tym razem chodzi nam o pańskiego nowego pacjenta.

– O pacjenta? O którego pacjenta?

– O Leona Donata.

Wilczur rozłożył ręce.

– Cóż ja panom o tym mogę powiedzieć... To nic poważnego. O ile wiem z relacji moich mediolańskich kolegów, operacja będzie łatwa i nie grozi żadnymi, nawet błahymi następstwami.

– Jednak, panie profesorze, to jest operacja gardła, gardła, które daje kilka milionów złotych rocznie. No i popularność Donata. Pan profesor rozumie, że ta operacja jest zdarzeniem najbardziej interesującym dziś nie tylko Warszawę, lecz i całą Europę, ba, cały świat. Cokolwiek by pan profesor nam o niej zechciał powiedzieć, będzie zawsze sensacją.

– No, dobrze – zgodził się Wilczur. – Muszę jednak już jechać do lecznicy i po drodze służę wam wszystkimi informacjami.

Na dole czekała wielka czarna limuzyna profesora. Zajęli w niej miejsce i podczas gdy auto sunęło zatłoczonymi ulicami, dziennikarze skrzętnie zapisywali w notesach wywody Wilczura.

W nawale zajęć teraz dopiero uświadomił sobie, że istotnie na jego lecznicę w dniu tym będą zwrócone oczy milionowych rzesz wielbicieli wielkiego śpiewaka. Doktor Łucja Kańska już wczoraj mu mówiła, że cała prasa polska z wielkim zadowoleniem zanotowała wiadomość o decyzji Donata, który nie ufając chirurgom włoskim, francuskim i niemieckim, postanowił powierzyć operację swego gardła właśnie jemu, profesorowi Wilczurowi, i dlatego zdecydował się na daleką podróż do Warszawy.

Chociaż z opisów i zdjęć wynikało, że operacja w istocie była

błaha i łatwa, Wilczur nie mógł się dziwić obawom śpiewaka, dla którego głos był całą racją istnienia, a maleńkie drgnięcie ręki chirurga podczas zabiegu pozbawiłoby go sławy i kolosalnych dochodów.

Po przybyciu do kliniki Wilczur zauważył, że i tu panuje podniecenie. Przede wszystkim przed bramą zebrał się ogromny tłum w oczekiwaniu na przyjazd śpiewaka. W hallu i na korytarzach panował wielki ruch. Wilczur pożegnał się z dziennikarzami i po drodze do swego gabinetu zajął jeszcze do pokoju dyżurnego internisty. Zastał tu pielęgniarkę i zapytał:

– Kto dziś ma dyżur?

– Doktor Kańska, panie profesorze.

Skinął głową.

– To dobrze.

U siebie zastał profesora Dobranieckiego dyskutującego o czymś z młodym Kolskim. Obaj byli jakby podnieceni rozmową, lecz umilkli, gdy Wilczur wszedł. Przywitali się w milczeniu, po czym Kolski w krótkich i rzeczowych zdaniach zreferował Wilczurowi stan zdrowia kilku pacjentów i zakończył:

– Inżyniera Lignisa pan profesor miał sam dziś zbadać. Pani Laskowska i pan Rzymski również prosili, by pan profesor ich odwiedził osobiście. To wszystko na trzecim piętrze. Ten biedak, którego przywieziono wieczorem z pogruchotaną miednicą, miał nad ranem wylew wewnętrzny i jest w agonii. Zdaje się, że już mu nic nie pomoże.

– Dziękuję panu, kolego – odpowiedział Wilczur i

spojrzawszy na zegarek dodał: – Muszę przede wszystkim obejrzeć gardło Donata. Czy mała sala operacyjna przygotowana?

– Tak jest, panie profesorze.

– Dużą pan dzisiaj, kolego, zajmie na dobre cztery godziny, prawda? – zwrócił się Wilczur do Dobranieckiego. – Cieszyłbym się, gdyby pan go zdołał uratować.

Dobraniecki wzruszył ramionami.

– Rzecz zupełnie beznadziejna. Jedna szansa na sto.

Podczas gdy Wilczur nakładał kitel, pod oknami rozlegały się okrzyki coraz głośniejsze i głośniejsze. Lekarze uśmiechnęli się do siebie. Zrozumieli się bez słów. Kolski jednak zauważył:

– Ludzie jednak wyżej cenią sztukę niż zdrowie. Żadnemu z nas nie robiono by takich owacji.

– Zapomina pan, kolego, o profesorze Wilczurze i o jego popularności – lekko rzucił Dobraniecki.

– Popularność tę zawdzięczam nie temu, że jestem lekarzem, lecz temu, że byłem pacjentem – odpowiedział Wilczur i wyszedł z gabinetu. Zaraz po nim wyszedł Kolski.

Dobraniecki ciężko opadł na fotel. Jego twarz jakby zastygła w skupieniu. Po chwili nacisnął dzwonek. Weszła pielęgniarka.

– W którym pokoju umieszczono Donata? – zapytał krótko.

– W czternastym, panie profesorze.

– Moja operacja o pierwszej?... Proszę dopilnować, by zawiadomiono doktora Biernackiego. Dziękuję pani.

Gdy wyszła, wstał i spojrzał na zegarek. Przeczekał pół

godziny, po czym wyszedł. Na pierwsze piętro prowadziły szerokie marmurowe schody. Numer czternasty był tuż przy nich. Zapukał i wszedł. Donat przebierał się przy pomocy pielęgniarki. Ujrzawszy Dobranieckiego, zawołał wesoło:

– O, profesorze! Jakże się cieszę, że pana widzę. Będziecie mnie dziś zarzynali.

– Dzień dobry, mistrzu. Wygląda pan świetnie – przytrzymał rękę śpiewaka w swojej – ale dlaczego pan używa liczby mnogiej? Przecież wyraźnie pan zażądał, by operował pana Wilczur. Nie ma pan zaufania, drogi mistrzu, do swego dawnego lekarza.

– Pełne zaufanie mam do pana, profesorze – z przymusem zaśmiał się Donat.

– Dajmy pokój tym sprawom – swobodnym tonem odpowiedział Dobraniecki. – Niechże mi pan powie, co się z panem działo, oczywiście nie o swoich sukcesach artystycznych, bo tego jest pełna prasa, ale jak tam z pańskimi prywatnymi historyjkami. Czy wciąż pan tak niepohamowanie korzysta ze swoich sukcesów miłosnych?

Donat wybuchnął szczerym śmiechem:

– Ach, tego nigdy nie dosyć! – Zaświeciły mu się oczy.

– Powinien pan bardziej oszczędzać serca kobiet w przenośni i własne bez przenośni – zażartował Dobraniecki.

Nie mówił tego bez podstaw. Donat mimo swego kwitnącego wyglądu, niemal atletycznej budowy i żywiołowego temperamentu już od lat młodzieńczych nie odznaczał się zbyt mocnym sercem. Jego matka, korzystając z zażyłych stosunków

z Dobranieckim, nieraz zwracała się doń w owych czasach po poradę dla syna.

Donat z ożywieniem opowiadał właśnie o jakiejś swojej nowej przygodzie, gdy zapukano do drzwi. Była to doktor Kańska. Zgodnie z regulaminem miała zbadać pacjenta przed operacją. Zastawszy tu jednak profesora i pacjenta już przygotowanego do stołu operacyjnego, zatrzymała się w progu.

– Pani mnie szuka? – zapytał Dobraniecki. – To bardzo dobrze, że panią widzę. Niech pani będzie łaskawa, koleżanko, zbadać tego mego staruszka. Pani wie, pokój 62. Wkrótce idzie na stół. Parę zastrzyków wzmacniających, o ile uzna to pani za wskazane, przydałoby się. Dziękuję pani, niech się pani pośpieszy.

Doktor Łucja chciała o coś zapytać, lecz Dobraniecki odwrócił się już do Donata ze słowami:

– I cóż dalej, mistrzu?

– Bardzo ładna dziewczyna – zaciekał się Donat. – Czy to lekarka?

– Tak, to nasza młoda internistka – wyjaśnił Dobraniecki.

Po kilku minutach zjawił się doktor Kolski z pielęgniarem.

– Już czas, mistrzu, na salę operacyjną.

Punktualnie rozpoczęła się operacja.

Zabieg nie należał ani do ciężkich, ani do trudnych. Ze względu jednak na bezpieczeństwo gardła pacjenta zastosowanie miejscowego znieczulenia nie było wskazane i Donata poddano ogólnej narkozie.

Przy operacji asystowali doktor Januszewski i doktor Kolski. Silne światło projektora odbijało się w lustrzanej tarczy i zwielokrotnione oświetlało wnętrze gardła operowanego. Z prawej strony, poza gruczołem występowała nieco ciemniejsza od otaczającej błony śluzowej narośl w kształcie połowy orzecha laskowego. Na razie wprawdzie nie zagrażała ona głosowi Donata, a nigdy jako nowotwór dobrotliwy nie mogła zagrażać jego zdrowiu, jednakże wciąż się w ostatnich czasach powiększała i bezpieczniej było ją usunąć. Przy sposobności trzeba było załatwić się z niedużymi zrostami, pozostałością po zeszłorocznym zapaleniu gardła. Wszystko razem według przewidywań profesora Wilczura nie powinno było zająć więcej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu minut.

W ciszy sali operacyjnej elektryczny zegar wybijał takty sekund z niezmienną ścisłością. Dłuższa strzała zbliżała się właśnie do jedenastej minuty, gdy doktor Kolski, czuwający nad pulsem pacjenta, szybko odwrócił się do stojącej za nim sanitariuszki i dał ręką niecierpliwym znak.

Nie trzeba było słów.

Wprawne palce sanitariuszki już napełniły strzykawkę i po chwili igła zanurzyła się pod skórę pacjenta. Minęły dwie dalsze minuty i zabieg trzeba było powtórzyć.

W osiemnastej minucie profesor Wilczur musiał przerwać operację.

Sala wypełniła się tupotem szybkich kroków. Wózek z aparatem tlenowym. Sztuczne oddychanie. Nowe zastrzyki.

W dwudziestej piątej minucie pacjent nie żył.

Przyczyna śmierci nie wymagała żadnych wyjaśnień. Dla wszystkich było jasne: serce operowanego nie zniosło narkozy. Profesor Wilczur zdjął rękawice i maskę, jego twarz zastygła w jakimś kamiennym wyrazie. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, a jednak śmierć człowieka w jego lecznicy podczas przeprowadzanej przezeń operacji, operacji w dodatku tak błahej, była dlań ciosem.

Nie zastanawiał się jeszcze w tej chwili nad tym, jakie echa ten tragiczny wypadek wywoła, jakie skutki za sobą pociągnie. Dla niego osobiście było rzeczą straszną, że w lecznicy, której był kierownikiem, przez jakieś niezrozumiałe zaniedbanie, przez czyjś błąd czy niesumienność zadano śmierć człowiekowi, który jeszcze przed półgodziną uśmiechnięty i pełen ufności powierzał mu troskę o swoje zdrowie i życie.

W spojrzeniu personelu Wilczur odkrył odbicie własnych myśli. Bez słowa wyszedł z sali operacyjnej. W ubieralni powoli zdejmował kitel jakby przygnieciony ogromnym zmęczeniem.

Gdy przyszedł do swego gabinetu, zastał w nim niemal cały wyższy personel zakładu: doktora Rancewicza, docenta Biernackiego, który dostał swego nerwowego tiku, Dobranieckiego w milczeniu palącego papierosa, Kolskiego, bladego i z ponurą twarzą, Żuka, doktor Łucję Kańską i jeszcze kilka osób. Panowało zupełne milczenie. Profesor Wilczur zbliżył się do okna i po dłuższej chwili, nie patrząc na nich, zapytał:

– Który z kolegów internistów miał dziś dyżur?

Odezwał się po krótkiej pauzie drżący i cichy głos doktor Kańskiej:

– Ja, panie profesorze.

– Pani? – jakby z lekkim zdziwieniem zapytał Wilczur. –

Badała go pani przed operacją?

Teraz odwrócił się i patrzył na nią z wyrzutem w oczach. Właśnie ona, dla której żywił najwięcej sympatii, którą darzył największym zaufaniem, której rokował jako młodziutkiej lekarce najlepszą przyszłość, właśnie ona popełniła to straszliwe zaniedbanie...

– Czy pani zapomniała go zbadać?

Doktor Łucja potrząsnęła głową.

– Nie zapomniałam, panie profesorze, ale kiedy przysłam do jego pokoju, zastałam tam pana profesora Dobranieckiego. Pan profesor Dobraniecki kazał mi zbadać innego pacjenta... więc sądziłam, że Donata zbadał już sam... Tak zrozumiałam, takie odniosłam wrażenie.

Oczy obecnych zwróciły się na Dobranieckiego, który zaczerwienił się z lekka i wzruszył ramionami.

– Czy kolega badał go? – zapytał go Wilczur.

W spojrzeniu Dobranieckiego błysnął gniew.

– Ja? Z jakiej racji. Przecież to należy do obowiązków dyżurnego internisty.

Jego wyniosłe podniesiona głowa i ściągnięte rysy wyrażały oburzenie.

– Zdawało mi się... – zaczęła doktor Łucja ze łzami w głosie
– odniosłam wrażenie...

– I cóż z tego? – ironicznie zapytał Dobraniecki. – Czy pani zawsze spełnia swoje obowiązki, obowiązki, od których zależy życie pacjenta, tylko wtedy, gdy się pani nic nie zdaje, gdy pani nie odnosi jakichś tam wrażeń?...

Doktor Łucja przygryzła wargi, by nie wybuchnąć płaczem. W ciszy odezwał się wzburzony głos doktora Kolskiego:

– Spotkałem koleżankę na korytarzu i powiedziała mi, że pan profesor to załatwił... Że pan profesor jest osobistym znajomym Donata...

Dobraniecki zmarszczył brwi.

– Właśnie, wstąpiłem doń jako do dawnego znajomego, by zamienić kilka zdań. Oczywiście zbadałbym mu serce, gdyby mi mogło przyjść na myśl, że pani tak lekkomyślnie zaniedba wykonania swego obowiązku.

Po twarzy Łucji spływały łzy. Wargi jej drgały, gdy mówiła:

– Nie zaniedbałam... Byłam przekonana, że... Nie mogę przysiąc, ale niemal jestem pewna, że dał mi pan do zrozumienia, że się sam tym zajmie, bo przecie... Ja... nigdy...

Ostatnie słowa zagmatwały się i rozpląnęły się w łkaniu.

– Jeżeli tu jest czyjaś wina – wybuchnął Kolski – to w każdym razie nie panny Łucji!

Na twarzy profesora Dobranieckiego wystąpiły ciemne wypieki. Cofnął się o krok i zawołał:

– Ach, tak? Więc to są takie metody? Widzę, że knuje się

tu przeciw mnie jakaś intryga! To na mnie chcecie zwalić swoje winy! To może ja mam być odpowiedzialny za brak dyscypliny w lecznicy, za nieobowiązkowość niektórych uprzywilejowanych osób z personelu?... Byłoby to oburzające, gdyby nie tkwił w tym zbyt oczywisty absurd. O, nie, moi drodzy państwo! Nie boję się intrygi i kłamstwa. Nie boję się odpowiedzialności, wtedy gdy istotnie spada ona na mnie, ale teraz, gdy mnie zmuszacie, nie zamierzam dłużej ukrywać tego, co myślę. Tak, powiem otwarcie. Przez szereg lat kierowałem tą instytucją i u mnie podobne wypadki były absolutnie wykluczone. U mnie panowała absolutna dyscyplina, u mnie nikt nie cieszył się jakimiś specjalnymi względami, u mnie każdy ponosić musiał pełną odpowiedzialność za wykonanie swoich ściśle określonych obowiązków. Może uważano mnie z tego powodu za zwierzchnika zbyt surowego, wymagającego, bezwzględego, ale za to nie igrało się wówczas życiem ludzkim!... Otóż Donat to ofiara tych porządków, które teraz tu panują. One zabiły Donata i, na Boga, nie ja jestem za to odpowiedzialny!...

Nie tylko wypowiedziane słowa, lecz cała postawa, wzrok i wyraz twarzy Dobranieckiego jakby tchnęły oskarżeniem, oskarżeniem skierowanym przeciw wszystkim zebrany.

W ciszy rozległ się głos profesora Wilczura.

– Prosiłbym kolegę o więcej spokoju i o nieferowanie wyroków. Nikt tu przeciw panu nie intryguje, nikt nie podaje w wątpliwość pańskich zasług, nikt nie obciąża pana winą. Za wszystko, co się dzieje w lecznicy, odpowiadam ja, ja ponoszę

odpowiedzialność.

– Właśnie. I ja tak sądzę – z ironicznym półuśmiechem odpowiedział Dobraniecki, skinął głową i wyszedł z pokoju.

W całej lecznicy na wieść o śmierci Donata na stole operacyjnym zapanował nastrój przygnębienia. Oczywiście wiadomości szybko wydostały się na miasto i w niespełna godzinę później hall lecznicy pełen już był dziennikarzy i fotografów redakcyjnych.

Śmierć Leona Donata, tenora, którego sława znajdowała się właśnie u szczytu, musiała wyrzucić na całym świecie wstrząsające wrażenie. Ponieważ zaś zgon nastąpił w okolicznościach tak wyjątkowych, wypadek nabierał wszystkich cech wielkiej sensacji. Skrzętnie pracowały ołówki reporterów; zbierając strzępy informacji od lekarzy, pielęgniarzy, a nawet od służby szpitalnej. Tylko profesor Wilczur nie chciał przyjąć żadnego z reporterów, oświadczając, że nie ma nic do powiedzenia. Natomiast jego zastępca, profesor Dobraniecki, chętnie udzielił wywiadu.

Podkreślił w nim z całą lojalnością swój szacunek i uznanie dla profesora Wilczura jako świetnego chirurga i dodał, że przeprowadzona przezeń operacja w żadnym wypadku nie mogła zakończyć się wynikiem śmiertelnym i nie zakończyłaby się, gdyby nie pewne niedociągnięcia w organizacji pracy na terenie lecznicy. Mimochodem zaznaczył też, że dawniej podobne wypadki nie zdarzały się nigdy, ani za owych czasów, gdy lecznicą kierował młody wówczas i niedźwigający na swych

barkach ciężaru przeżyć profesor Wilczur, ani wówczas, gdy on sam, profesor Dobraniecki, był tu dyrektorem.

– Chcę, by mnie panowie dobrze zrozumieli – mówił. – Kierowanie taką instytucją wymaga bardzo wielu wysiłków, nienadwątłonej energii, nienadniszczonej tragicznymi przeżyciami sprężystości. Każdy z nas, lekarzy, zdaje sobie sprawę, a przynajmniej zdawać sobie sprawę powinien, że ponosi wielką odpowiedzialność za życie powierzonych nam pacjentów, że szczytną swą misję godnie spełniać może tylko wówczas, gdy jest pewien pełni swoich sił duchowych i umysłowych, które przecież z biegiem lat wyczerpują się, nawet wtedy gdy życie płynie normalnie. Dlatego z całą stanowczością muszę stanąć w obronie profesora Wilczura i sądzę, że mam prawo wymagać dlań wyrozumiałości.

Panowie i wasi czytelnicy wiedzą dobrze, jak ciężkie przeżycia wyrwały go na długie lata z normalnego trybu egzystencji. Proszę mi wierzyć, że nie może pozostać bez śladu na psychice, na umyśle i na woli człowieka fakt kilkunastoletniej amnezji, utraty pamięci i wegetowania w strasznych warunkach wśród społeczeństwa, w nędzy. I tak godne podziwu jest, że profesor Wilczur zdobył się na tak wspaniały dowód siły i żywotności ducha, że po tylu latach potrafił przejść od praktyki znachorskiej, od najprymitywniejszych sposobów leczenia do kierowania wielką lecznicą, gdzie i najmłodszego, najbardziej energicznego człowieka mógłby przerazić nadmiar

¹ *nienadniszczony* – dziś: niepodniszczony. [przypis edytorski]

skomplikowanych zagadnień organizacyjnych wymagających ustawicznej czujności, ustawicznej kontroli. Z naciskiem proszę panów o podkreślenie mego wielkiego szacunku dla profesora Wilczura, który będąc już w tych latach, gdy nawet każdy inny lekarz, któremu życie upłynęło normalnie i spokojnie, szuka odpoczynku, wciąż jeszcze trwa na stanowisku.

Zegnając się z dziennikarzami profesor Dobraniecki uwarunkował umieszczenie wywiadu tym, że będzie wydrukowany jak najściślej.

– Nie mam oczywiście i nie mogę mieć wpływu na rodzaj i jakość komentarzy, którymi panowie zechcą ten wywiad i cały wypadek opatrzyć. Nie chciałbym jednak, by wskutek zniekształcenia wypowiedzianych tu przeze mnie słów ktokolwiek z czytelników mógł wyrobić sobie błędne zdanie o moim stosunku do sprawy.

O godzinie piątej po południu na ulicach Warszawy ukazały się nadzwyczajne dodatki przynoszące wieść o śmierci znakomitego tenora. Korespondenci pism zagranicznych wysłali długie depesze, wszystkie linie telefonów międzymiastowych na Berlin, Wiedeń, Paryż przez długi czas były zajęte.

W mieście o niczym innym nie mówiono. W dodatkach nadzwyczajnych podano tylko suche fakty, ale same tytuły zawierały już osąd: „Wielki śpiewak Leon Donat zmarł pod nożem profesora Wilczura”, „Nie zbadano przed operacją serca”, „Ofiara karygodnego niedbalstwa w lecznicy profesora Wilczura”...

Warszawa się trzęsła. Przed gmachem lecznicy zgromadził się kilkutyśięczny tłum wielbicieli zmarłego śpiewaka, z gęstwy ludzkiej raz po raz padały głošne okrzyki pod adresem profesora Wilczura i w ogóle lekarzy. Omal nie poturbowano wychodzącego z lecznicy doktora Źuka, a policja z trudem zdołała tłum rozproszyć, by dać przejazd karetce pogotowia, która przywiozła jakiegoś pacjenta.

W samej lecznicy panował nastrój pogrzebowy. Jeden tylko bodaj profesor Wilczur nie przerwał swoich codziennych zajęć. Zdawał się nie dostrzegać wyrazu twarzy podwładnych ani ich zdenerwowania, zdawał się nie wiedzieć o wzburzeniu na mieście, zdawał się nie słyszeć hałasującego pod oknami tłumy.

Kończył właśnie wieczorną wizytację pacjentów i schodził na dół, w chwili gdy przywieziono nowego. Asystujący profesorowi doktor Kolski chciał zająć się jego przyjęciem, lecz Wilczur sam zbliżył się do lekarza pogotowia, by pacjenta odebrać. Z noszy, z którymi dwaj sanitariusze skierowali się do sali przyjęć, rozległy się ciche pojękiwania, drogę znaczyły gęste krople czarnej krwi.

– Co to jest? – zapytał profesor Wilczur.

Lekarz pogotowia wyjaśnił: rozprawa nożowa, stan beznadziejny, kilka głębokich ran klatki piersiowej i brzucha. Tylko natychmiastowa operacja może coś pomóc. Dlatego właśnie przywiozł go tu, bo było najbliżej.

– Proszę go od razu na stół – zwrócił się Wilczur do Kolskiego.

Kolski zatrzymał się przez sekundę.

– Czy ma go operować doktor Rancewicz?

– Nie, ja sam się tym zajmę – odpowiedział Wilczur.

Kolski pobiegł wydać dyspozycje, po czym dopilnował rozebrania rannego z jego łańchmanów. Był to jakiś włóczęga o dawno niegolonej twarzy przeciętej zresztą teraz kilkoma niegłębokimi, lecz krwawiącymi ranami. Dogorywał. Nierówny oddech przesiąknięty odorem alkoholu ustał prawie zupełnie.

Sala operacyjna była gotowa. Przyszła doktor Łucja, blada jak papier, o oczach zaczerwienionych od długotrwałego płaczu.

– Niechże pani idzie do domu – prosząco odezwał się Kolski.

– Już ja wszystkiego dopilnuję. A tutaj nie ma nawet po co badać. Nie wiem, czy go doniosą do sali operacyjnej.

Zjawił się profesor Wilczur. Pochylił się nad pacjentem i wyprostował się, przecierając ręką oczy.

– Kto to jest? Ja znam tego człowieka. Ja go na pewno kiedyś widziałem.

– Pogotowie podało tylko imię i nazwisko – wyjaśnił Kolski.

– Nazywa się Cyprian Jemioł.

– Jemioł? – powtórzył profesor. – Skąd ja go znam?

Na progu zjawił się sanitariusz i oznajmił, że wszystko gotowe. Po zdjęciu prowizorycznych opatrunków okazało się, że rany nie są ani tak głębokie, ani tak groźne, jak to określił lekarz pogotowia. Jedna tylko była wysoce niebezpieczna. Ostrze noża rozplatało mięsień brzuszny i dość szeroko żołądek. Płuca były nienaruszone, natomiast upływ krwi znaczny i długotrwały był najistotniejszym niebezpieczeństwem.

– Drugi trup w ciągu jednego dnia na tej sali – powiedziała szeptem jedna z pielęgniarek do doktora Kolskiego. – Dlaczego profesor sam robi tę operację?

Kolski nic nie odpowiedział. Tymczasem profesor Wilczur swymi wielkimi, niezgrabnymi rękami ze zdumiewającą wprawą zaszywał jedną ranę po drugiej. Myśl jego jednak wciąż pracowała, jakby szukając w pamięci podobizny tego człowieka.

„Jemioł – powtarzał w myśli. – Cyprian Jemioł... Znam go z całą pewnością”.

Operacja była skończona. Pacjenta zabrano żywego ze stołu. Iskierka życia, która się w nim tliła, równie łatwo mogła zgasnąć, jak i ponownie się rozżarzyć. Umieszczono go na czwartym piętrze w oddziale niepłacących pacjentów, zaś profesor Wilczur musiał wprost z sali operacyjnej udać się do kancelarii, gdzie oczekiwał już go komisarz policji i sędzia śledczy.

Władze pod naciskiem opinii publicznej musiały gruntownie zbadać sprawę śmierci Donata. Profesor Wilczur został poinformowany, że w aktach znajdują się już zeznania wszystkich ważniejszych w grę wchodzących osób, a sędzia śledczy dał mu do zrozumienia, że ciężar oskarżenia kieruje się ku doktor Łucji Kańskiej, która podczas badania nie zaprzeczyła zresztą swojej winie. Potwierdzają to również zeznania profesora Dobranieckiego, ten jednak winę przypisuje w ogóle nieporządkom organizacyjnym panującym w lecznicy.

Wiele trudu i argumentów zużyć musiał profesor Wilczur po to, by przekonać ich, że doktor Kańska nie ponosi tu

żadnej odpowiedzialności, że profesor Dobraniecki również nie może być postawiony pod jakimkolwiek zarzutem. Wszystkiemu winno jest nieporozumienie i tylko nieporozumienie. O czyjejkolwiek złej woli nie może tu być mowy, ale nieporozumienia podobnego typu istotnie nie mogą zdarzać się w lecznicy i Dobraniecki ma rację, przypisując winę śmierci Donata złej organizacji.

– Za organizację zaś ja tu jestem odpowiedzialny – zakończył profesor Wilczur – i ja jeden jestem winowajcą.

– Oczywiście, panie profesorze – powiedział sędzia śledczy, składając papiery do teczki – nie może być tu mowy o jakimś procesie karnym. Musi pan być jednak przygotowany na ewentualność, że rodzina śp. Leona Donata lub też towarzystwa asekuracyjne, w których nieboszczyk był ubezpieczony, mogą rościć sobie poważne pretensje finansowe. Radziłbym też panu profesorowi zawczasu porozumieć się co do tych spraw ze swoim adwokatem.

– Dziękuję panu sędziemu – powiedział Wilczur.

Była już godzina dziesiąta, gdy Wilczur wyszedł z lecznicy. Na dole zobaczył oczekującą nań Łucję. Wzruszył go jej wygląd. Przez myśl mu przeszło, że ta biedna dziewczyna zrozpaczona i przybita zdarzeniami, w których kręgu mimo woli się znalazła, może popełnić jakieś szaleństwo.

Uśmiechnął się i wziął ją pod rękę.

– No, droga pani, więcej hartu, więcej hartu. Nie można tak się przejmować. Żaden człowiek nie może być absolutnie pewien

nieomyślności wszystkich swoich działań. I żaden lekarz. Stało się, trzeba nad tym ubolewać, trzeba odtąd zdwoić uwagę, ale nie można popadać w depresję.

Łucja potrząsnęła głową.

– Nie, panie profesorze. To nie jest depresja. To jest rozpacz na myśl o tym, że pan profesor może być istotnie przekonany o moim niedbalstwie. Wszystkie okoliczności składają się przeciwko mnie... Tak chciałabym, by pan pozwolił mi wytłumaczyć się...

Wilczur mocniej przycisnął jej rękę.

– Ależ, droga panno Łucjo...

– Nie, nie, panie profesorze – przerwała mu. – Obiektywnie rzecz biorąc, zasługuję na potępienie i wiem, że nie może pan nadal korzystać z mojej współpracy. Narażać się na współpracę ze mną. Jestem na wszystko przygotowana. Chodzi mi tylko o to, by pan uwierzył mi, by pan nie wątpił... Moją winą nie jest ani niedbalstwo, ani nawet lekkomyślność... Może tylko nadmiar zaufania do dobrej woli i lojalności... profesora Dobranieckiego... Poniosę wszystkie konsekwencje... Jeżeli mi nawet prawo praktyki odbiorą, niech będzie!... Ale niech mi pan uwierzy...

– Ależ wierzę, wierzę, droga pani – zapewnił Wilczur. – I może pani być spokojna, nikt pani niczego nie odbierze, zostanie pani po dawnemu w lecznicy i nie zmniejszy się moje zaufanie do pani ani odrobinę.

Szli przez chwilę w milczeniu i Wilczur odezwał się

niezwykłym u niego surowym tonem:

– Pani jest młoda, bardzo młoda i dlatego wybaczę pani i to jedyne prawdziwe przewinienie, które pani popełniła. Które pani popełniła teraz... Postaram się zapomnieć, że mogła pani przez chwilę bodaj wątpić o dobrej woli profesora Dobranieckiego, o dobrej woli jakiegokolwiek lekarza. Lekarz może się mylić, ale nie ma takiego na świecie, słyszy pani, nie ma takiego, który by dla jakichkolwiek powodów mógł dopuścić się narażenia na niebezpieczeństwo śmierci pacjenta. To pani jako lekarka powinna zrozumieć... Pani powinna w to wierzyć! Z chwilą, gdy się przestaje w to wierzyć – trzeba przestać być lekarzem.

Łucja odezwała się tonem wyjaśnienia:

– Ja tylko chciałam zaznaczyć, panie profesorze, że profesor Dobraniecki...

– Nie mówmy o tym więcej – przerwał jej stanowczo. – Niech panią Bóg broni przed kimkolwiek zwierzać się z jakichś swoich... No, dajmy temu spokój. Niech pani patrzy, jaką piękną mamy noc. Ile gwiazd.

Pochylił się ku niej z uśmiechem.

– Lubię jesień. Lubię jesień. A pani?

Rozdział III

Treść porannych gazet przyprawiła panią Ninę Dobraniecką o wypieki. Kazała sobie przynieść wszystkie i nie było wśród nich takiej, która by nie podawała wywiadu z jej mężem. Prawie wszystkie też zawierały ostre, potępiające komentarze o karygodnym niedbalstwie w lecznicy, która od lat słynęła z wzorowego porządku i z wysokiego poziomu lekarskiego. Niektóre pisma występowały wręcz z żądaniem ustąpienia profesora Wilczura, inne wyrażały obawy, że jeżeli w tej lecznicy w tak niedbały sposób odniesiono się do pacjenta bogatego i słynnego na całym świecie, to w jakim sposobie traktuje się tam ludzi zwykłych. Wszystkie dzienniki przypominały również, że wieloletnia amnezja profesora Wilczura nie mogła pozostać bez wpływu na stan obecny jego władz duchowych, czego dowodem są chociażby pozostałości znachorskich upodobań w stosowaniu ziół, nawet takich, które oficjalnie nauka od dawna już uznała za bezwartościowe lub wręcz szkodliwe.

Wywiad udzielony przez męża wydał się pani Ninie za słaby. Ten człowiek pominął oto najświetniejszą okazję do zdruzgotania, do ostatecznego zdruzgotania przeciwnika i usunięcia go z widowni. Niepotrzebne były te przesadne komplementy pod adresem Wilczura. Należało wyraźniej podkreślić jego wiek i przytoczyć coś na dowód objawów nawrotu amnezji. Przewertowawszy pisma, pani Nina nacisnęła

guzik dzwonka.

– Czy pan profesor już wstał? – zapytała pokojówkę.

– Pan profesor wyszedł już przed godziną.

– Przed godziną? – zdziwiła się pani Nina.

Wczoraj nie widziała męża. O śmierci Donata dowiedziała się z dodatków nadzwyczajnych. Kilkakrotnie próbowała połączyć się telefonicznie z mężem, w lecznicy jednak odpowiadano jej zawsze, że nie może podejść. Wrócił do domu późną nocą, gdy już spała. A teraz przed ósmą wyszedł z domu, czego prawie nigdy nie robił.

– Możesz odejść i przygotuj mi kąpiel – odprawiła pokojówkę.

Pani Nina postanowiła nie próżnować. Przede wszystkim należało się dowiedzieć, jaki rezonans wśród znajomych wywołały artykuły porannej prasy, i postarać się o to, by usposobić różne wpływowe osobistości jak najkrytyczniej do osoby Wilczura. Nie było to zbyt trudne zadanie w tej atmosferze, jaką wytworzyły wypadki. Każdy z interlokutorów pani Niny zdawał sobie przecież sprawę, że pani Dobraniecka, jako żona zastępcy i najbliższego współpracownika Wilczura, może posiadać znacznie ściślejsze i obfitsze informacje o przebiegu operacji i przyczynach śmierci Donata niż prasa.

I pani Nina nie zawiodła tych oczekiwań.

Miała rozległe stosunki i umiała mówić przekonująco. W rezultacie plotki i komentarze dookoła tragicznego zdarzenia wciąż narastały, przybierając formę najbardziej fantastycznych hipotez, domysłów i podejrzeń. Warszawa tak była nasiąknięta tą

sprawą, że nie mogła ona zniknąć również i z łamów prasy. Nie była to kampania skierowana wprost przeciw osobie profesora Wilczura, lecz w istocie godziła w jego pozycję w świecie lekarskim i w jego sławę chirurga.

Pani Nina nie należała do osób, które przebijają w środkach walki, nie należała do osób cofających się przed jakimkolwiek krokiem, jeżeli krok ten mógł zbliżyć ją do celu. Po kilku dniach z tego właśnie powodu między nią i mężem doszło do ostrej scysji.

Profesor Dobraniecki podczas konsylium u jednego z pacjentów usłyszał od doktora Hryniewicza tak nonsensowny zarzut pod adresem Wilczura, że przez samo poczucie przyzwoitości musiał mu zaprzeczyć. Zarzut polegał na tym, że rzekomo Wilczur w niektórych wypadkach zamiast leczenia stosuje znachorskie „zamawianie”. Dobraniecki przez moment przypuszczał nawet, że w stosunku do niego Hryniewicz ucieka się do podstępnej prowokacji.

– Nonsens, panie kolego – powiedział, krzywiąc się. – Jak pan może wierzyć podobnym nedorzecznostom?

– Moja siostra słyszała to od pańskiej żony – odpowiedział lekarz.

Dobraniecki bąknął coś o nieporozumieniu, które tu musiało zajść, jednak po powrocie do domu zaczął robić żonie gwałtowne wymówki.

– Ty doprawdy nie znasz miary i nie masz poczucia zdrowego sensu. Przecież w ten sposób tylko mnie kompromitujesz.

Przecież nie można w ludzi wmawiać absurdów, którym nikt rozsądny nie uwierzy.

Pani Nina wzruszyła ramionami.

– A jednak widzisz, że uwierzyli.

– Albo udawali, że wierzą – podkreślił z naciskiem.

– Mój drogi, bądź przekonany, że jeżeli o kimś mówisz źle, zawsze ci uwierzą.

– A jednak proszę cię, Nino, byś pohamowała swoją akcję. Wilczur doskonale się orientuje, komu może zależeć na psuciu jego opinii. W jego zachowaniu się w stosunku do mnie w ostatnich dniach dostrzegam coraz więcej rezerwy i chłodu. Gdy zostanie wyprowadzony z równowagi, może mi bardzo zaszkodzić.

– W jaki sposób?

– W bardzo prosty. Może mnie oskarżyć o kampanię oszczerczą przeciw niemu.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Przed kim oskarżyć?

– To obojętne. W senacie akademickim, w związku, a bodaj w prasie. Nie zapominaj, że cieszy się on wciąż jeszcze wielkim autorytetem. A jedna operacja śmiertelna... nie może takiego autorytetu obalić.

Profesor Dobraniecki miał rację. Śmierć Donata nie zdołała obalić autorytetu profesora Wilczura, zachwiała nim jednak poważnie. Najdobitniej wyraziło się to na dorocznym zebraniu związku podczas wyborów.

Pozycja Wilczura była wciąż jeszcze tak mocna, że Dobraniecki uważał za rzecz wskazaną cofnąć swoją kandydaturę na stanowisko prezesa i wysunąć kandydaturę Wilczura. Nastąpiło głosowanie i Wilczur został wybrany. Lecz o ile przed dwoma tygodniami wybór nastąpiłby jednomyślnie, tym razem przeszedł tylko nieznaczoną większością kilku głosów przy wielu wstrzymujących się od głosowania.

Na zebraniu Wilczur nie był obecny. Głęboko przejęty swoimi troskami po prostu zapomniał o zebraniu, zaś zawiadomiony o wynikach napisał krótki list do związku, oświadczając, że wyboru przyjąć nie może. Tłumaczył się zmęczeniem i tym, że stanowiska publiczne powinni zajmować ludzie młodszy. W istocie przejmowała go wstrętem myśl, że przyjmując wybór, musiałby ustawicznie stykać się z tymi ludźmi, którzy głosowali przeciw niemu, którzy uwierzyli haniebnym plotkom i oszczerstwom krążącym po mieście i znajdującym echa w wielu dziennikach, ba, nawet w pismach fachowych.

Miał jeszcze i inne kłopoty. Mianowicie pewnego dnia zgłosił się doń przedstawiciel towarzystwa asekuracyjnego, w którym Donat był ubezpieczony na kolosalną sumę. Towarzystwo stało na stanowisku, że odpowiedzialność za śmierć śpiewaka ponosi profesor Wilczur i że on też winien uiścić kwotę ubezpieczenia. A to dla Wilczura równało się – ruinie.

Pomimo to bez namysłu oświadczył, iż gotów jest pokryć całą sumę. Czy mógł narażać się na proces, na ekspertyzy, na wywlekanie na światło dzienne tych wszystkich podejrzeń, które

się nagromadziły przecież nie tylko w nim samym, ale Łucji Kańskiej i w Kolskim, i zapewne w wielu innych? Musieliby stanąć przed sądem i na pewno ktoś z nich poruszyłby te sprawy, wystąpiłby z tymi podejrzeniami, na myśl o których ogarnęło Wilczura przerażenie i obrzydzenie.

Nie, na to się zgodzić nie mógł.

W ten sposób z dnia na dzień utracił niemal cały majątek. Lecznica, willa, kamienica na Puławskiej – wszystko to przeszło na własność towarzystwa asekuracyjnego. Dyrekcja tego towarzystwa wykazała i tak wiele życzliwości i dobrej woli, pozostawiając Wilczura na czele lecznicy i wyznaczając mu względnie wysokie pobory oraz pozostawiając mu prawo dożywotniego zajmowania willi. Dzięki tym okolicznościom sprawa została załatwiona cicho i bez rozgłosu, na czym Wilczurowi najbardziej zależało. Pozornie nic się nie zmieniło. O tym, że Wilczur przestał być w lecznicy wszechwładnym panem i zależał teraz od prezesa Towarzystwa Asekuracyjnego Tuchwica, nikt nie wiedział.

I sam Wilczur zresztą nie odczuwał tej zmiany. Od wielu lat nie przywiązywał do pieniędzy wielkiej wagi. Kiedyś, gdy była z nim jeszcze jego żona, śp. Beata, umiał pracować po kilkanaście godzin na dobę, wierzył, że przepychem luksusowych samochodów, drogich futer i biżuterii może dać jej radość, dać szczęście. I oto pewnego dnia zostawiła to wszystko, zostawiła i odeszła, zabierając małą Mariolę. Wraz z jej odejściem rozwiały się jego złudzenia. Wszystkie dotychczasowe

wysiłki, cała ciężka i zawzięta walka o byt wydała się śmiesznym nieporozumieniem, bezsensownym trudem, tragiczną pomyłką.

A potem przyszyły lata... zupełnie inne lata... Kto wie, czy nie należy ich błogosławić, tych lat spędzonych na szlakach włości, lat spędzonych wśród dobrych ludzi, gdy praca z siekierą w ręku lub z ciężkim workiem na plecach była pracą dla zwykłego kawałka chleba... Utrata pamięci. Tak. Przez długie lata nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi, jak się nazywa. A czyż utrata pamięci wówczas nie była dlań dobrodziejstwem? Czyż nie powinien błogosławić Boga za to, że mu odebrał świadomość przeszłości, świadomość śmiertelnej rany zadanej w serce, w nieprzytomnie kochające serce, przez kobietę, przez ponad wszystko kochaną kobietę...

Popiół czasu przyprószył przeszłość, popiół czasu przyprószył włosy...

Z przeszłości została mu tylko Mariola... Czy została?...

Od trzech lat, odkąd wyszła za mąż, widział ją tylko jeden raz. Nie miał do niej ani do Leszka o to żalu. Cóż, każdy ma własne życie. Młode ptaki wylatują z gniazd, zakładając własne, i już nigdy do dawnych nie powracają. Leszkowie zamieszkali w Ameryce, a chociaż pisują często, coraz bardziej znać w ich listach tę odległość wielu tysięcy kilometrów, tę przegrodę wielu tysięcy innych, odmiennych, obcych warunków bytu, jakie ich dzielą od niego.

„Nie jestem im potrzebny – myślał Wilczur – a przy ich bogactwie nie odczują nawet tej straty, że w spadku po mnie nic

nie dostaną”.

W spadku. Pierwszy raz mu to przyszło na myśl, że jest już stary. Dotychczas nawał codziennej pracy i jego niezmordowana energia zasłaniały mu przed oczyma fakt, że dobiega już tego wieku, w którym większość ludzi myśli tylko o śmierci. Gdy przeczytał te słowa w wywiadzie Dobranieckiego, wydały mu się tak śmieszne i tak nikczemne, jak i reszta jego perfidnych wynurzeń. Mijały jednak dni i tygodnie, a coraz więcej myślał o swojej starości.

Wprawdzie po dawnemu codziennie już o siódmej rano był na nogach, a o ósmej w lecznicy, ale już popołudnia najczęściej spędzał w domu. Przeważnie samotnie.

Czuł się zmęczony. W związku z nieustającymi napaściami, na które nie odpowiadał, pogarszał się wciąż jego stan nerwowy, a to odbijało się na zdrowiu i samopoczuciu.

W tym to okresie zaczął pić. Nie był to nałóg. Po prostu stary, doświadczony Józef, służący Wilczura, któregoś dnia zaproponował mu wypicie kieliszka koniaku.

– Zmarzył pan trochę, panie profesorze. Dobrze to panu robi.

Od tego dnia, gdy po obiedzie zasiadał przed kominkiem w gabinecie, zawsze obok czarnej kawy na stoliku stała butelka z koniakiem. Kilka kieliszków rozgrzewało go znakomicie, pozwalało oderwać myśl od przykrej rzeczywistości, dawało złudzenie pogody i zadowolenia. A przede wszystkim usypiało nerwy, nerwy, które w ostatnich czasach naprawdę potrzebowały spokoju.

Nieustające ataki na Wilczura musiały wyrzucić swój wpływ nawet na najbliższe jego otoczenie. W lecznicy, jak to zdołał zauważyć, część personelu odnosiła się doń krytycznie i wyraźnie oscylowała ku Dobranieckiemu czy to z przekonania, czy po to, by pozyskać jego względy w przewidywaniu, że zbliża się ponownie okres jego władzy.

Stosunek Wilczura do Dobranieckiego nie zmienił się pozornie w niczym. Zmuszeni do codziennego stykania się na terenie lecznicy, po dawnemu konferowali z sobą, odbywali konsylia i narady. Obaj jednak starali się ograniczyć wzajemny kontakt do minimum. Unikali też jakiegokolwiek zatargu. Toteż gdy profesor Dobraniecki zapowiedział sekretarzowi, by odtąd nie dawano mu pacjentów z czwartego piętra (oddział bezpłatny), Wilczur przyjął to do wiadomości bez protestu i odtąd sam wizytował ten oddział.

Na tym właśnie oddziale spotkało go niespodziewane przeżycie. Podczas jednej z wizytacji poznał człowieka, którego przywieziono mu pod nazwiskiem Cypriana Jemioła, a raczej Jemioł poznał Wilczura.

Było to tak: profesorowi dano znać, że pacjent ten odzyskał przytomność. Gdy Wilczur wszedł do jego pokoju i pochylił się nad chorym, ten unióśł powieki i przez dłuższą chwilę wpatrywał się przytomnym wzrokiem w twarz profesora, potem lekko się uśmiechnął i powiedział:

– *How do you do, darling*².

² *How do you do, darling* (ang.) – jak się masz, kochanie. [przypis edytorski]

– Skąd ja pana znam? – zapytał Wilczur.

Pacjent w uśmiechu odsłonił spróchniałe zęby.

– Przedstawił nas sobie mistrz ceremonii na przyjęciu u księżnej Montecuculi.

Profesor zaśmiał się.

– Naturalnie, poznaję też pański głos i sposób mówienia.

– To nietrudno, *mon cher*³. Mam zwyczaj zmieniać głos tylko jeden raz w życiu. W okresie pacholejącej mutacji. Co zaś dotyczy sposobu mówienia, nie przestaję nigdy być wytworny.

Profesor przysunął sobie krzesło i usiadł.

– A jednak musiało to być dawno, bardzo dawno – powiedział w zamyśleniu.

Jemioł przymknął oczy.

– Gdybym się jeszcze umiał dziwić czemukolwiek na tym świecie, to bym się dziwił, że nie spotykamy się właśnie na tamym. Cóż za zbieg okoliczności! Dobrodzieja, o ile mnie pamięć nie myli, wiele lat temu pozbawiono możliwości kontynuowania doczesnego żywota i wyprawiono *ad patres*⁴. Mnie kilku serdecznych przyjaciół wyekspediowało w tymże kierunku niedawno. I oto spotykamy się w ciepłym szpitalu. Pan jest doktorem?

– Tak – potwierdził Wilczur. – Operowałem pana. Był pan nieludzko pokrajany.

³ *mon cher* (fr.) – mój drogi. [przypis edytorski]

⁴ *ad patres* (łac.) – do ojców. [przypis edytorski]

– Bardzo mi przykro, że pana trudziłem, *signore*⁵. *Mille grazzia*⁶. Ale skoro pan jest lekarzem, niechże mi pan przede wszystkim powie, czy mi nie ucięto jakiejś kończyny.

– Nie. Będzie pan zupełnie zdrow.

– To jest dość przyjemna wiadomość. Przyjemna dla Drożdżyka, który tam na pewno tęskni za mną i wyplakuje swoje piękne oczy. Przypomina pan sobie Drożdżyka, *dottore*⁷?

– Drożdżyka? – profesor zmarszczył brwi.

– Tak, *my dear*⁸, mówię o słynnym *établissement*⁹ Drożdżyk, *rue*¹⁰ Witebska *quinze*¹¹... Restauracja z punktu widzenia fiskalnego zaliczona do trzeciego rzędu, ale pierwszorzędna pod względem towarzyskim, obyczajowym i moralnym. *Etablissement* Drożdżyk. Nic to panu nie mówi? *Rendez-vous*¹² eleganckiej Warszawy. *High life*¹³... Tam właśnie mieliśmy zaszczyt i przyjemność.

Profesor Wilczur przetarł czoło.

– Czyżby?... To pan... pan mnie wtedy zaczepił na ulicy?...

⁵ *signore* (wł.) – tu W.lp: panie. [przypis edytorski]

⁶ *mille grazzia* właśc. *mille grazie* (wł.) – stokrotne dzięki. [przypis edytorski]

⁷ *dottore* (wł.) – lekarz. [przypis edytorski]

⁸ *my dear* (ang.) – mój drogi, moja droga. [przypis edytorski]

⁹ *établissement* (fr.) – instytucja, zakład, przedsiębiorstwo. [przypis edytorski]

¹⁰ *rue* (fr.) – ulica. [przypis edytorski]

¹¹ *quinze* (fr.) – piętnaście. [przypis edytorski]

¹² *rendez-vous* (fr.) – spotkanie. [przypis edytorski]

¹³ *high life* (ang.) – wielki świat, wytworne towarzystwo. [przypis edytorski]

– *Si, amico*¹⁴. *Toczno*¹⁵ tak, tak *imiennie*¹⁶. Wstąpiliśmy do Drożdżyka, by przy czterdziestopięcioprocentowym roztworze alkoholu poruszyć pewne zagadnienia abstrakcyjne, co się nam też w zupełności udało. O ile sobie przypominam, miał pan wówczas jakieś przykrości i niestety zbyt opasły pugilares¹⁷ w kieszeni. Od owego dnia używałem pańskiego przykładu jako argumentu, ilekroć głosiłem cnotę ubóstwa. Zawsze byłem zdania, że bogactwo nie daje szczęścia. Gdyby pan nie miał wówczas tyle pieniędzy, niedzielono by pana łomem po głowie i nie topiono w gliniane.

Jemioł spojrział w oczy Wilczurowi i dodał:

– *Nein, mein Herr*¹⁸, *vous vous trompez*¹⁹. Ja nie brałem w tym udziału. Dowiedziałem się o wszystkim nazajutrz. Wieść gminna. Legenda. Jeszcze jedna legenda do rozmyślań nad znikomością rzeczy ludzkich.

Wilczur odruchowo sięgnął ręką do ciemienia, na którym pozostała blizna.

– Więc to tak było?

– Tak, wodzu. Nie śniło mi się nigdy, że ujrzę cię kiedyś jeszcze.

¹⁴ *si, amico* (wł.) – tak, przyjacielu. [przypis edytorski]

¹⁵ *tozno* (z ros.) – dokładnie, ściśle. [przypis edytorski]

¹⁶ *imiennie* (z ros.) – właśnie. [przypis edytorski]

¹⁷ *pugilares* – portfel. [przypis edytorski]

¹⁸ *nein, mein Herr* (niem.) – nie, mój panie. [przypis edytorski]

¹⁹ *vous vous trompez* (fr.) – myli się pan. [przypis edytorski]

Od owego dnia profesor dość często odwiedzał Jemioła, który zresztą szybko powracał do zdrowia. Polecił go też szczególniejszej opiece panny Łucji, która zajęła się nim ze zdwojoną gorliwością. Wilczur nie mógł nie zauważyć, że ta młoda dziewczyna z nadzwyczajnym poświęceniem oddaje się pracy, jakby chcąc wynagrodzić błąd, który popełniła. Nie mógł również nie dostrzec, że Łucja darzy go szczególniejszą sympatią, że w jej wzroku znajduje wiele ciepła, serdecznego współczucia, przyjaźni i jakby jakiejś prośby.

Czasami wychodzili razem z lecznicy i wówczas odprowadzała go do domu. Mówił najczęściej o sprawach zawodowych, zdarzało się jednak, że rozmowa schodziła na kwestie osobiste. Dowiedział się, że Łucja jest sierotą. Pochodziła z Sandomierza, lecz od dziecka wychowywała się w Warszawie. Na wychowanie jej i wykształcenie łożyła stryjenka, która również umarła przed kilku laty. Opowiedziała mu też, że kiedyś była zaręczona, lecz po niedługim czasie przekonała się, że młody inżynier, który udawał przed nią miłość, był człowiekiem bezwartościowym, i wtedy z nim zerwała.

– A teraz widzę – zauważył Wilczur – że kolega Kolski jest panią bardzo zajęty.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Kolski, profesorze, jest właśnie kolegą, jest bardzo porządnym chłopcem, lubię go i uznaję jego wartości, ale to nie są te wartości, które mogłyby wywołać jakieś głębsze uczucie.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– A czyż w kobiecie wywołują uczucia jakieś wartości?... Nie uroda, nie młodość, nie... czy ja wiem... wdzięk?...

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, profesorze. To, o czym pan wspomniał, może zainteresować tylko bardzo płytkie kobiety. Sądzę, że my... że ja szukałabym w mężczyźnie przede wszystkim bogactwa jego duszy, że chciałabym w nim znaleźć jakby wielką bibliotekę przeżyć, przemyśleń, tragedii i wzlotów, jakby muzeum, żywe muzeum... Nie umiem tego określić. Może to są złe porównania. Powiem tak: chcę, by jego dusza była instrumentem wielostronnym, by zawierała w sobie tyle cech i dźwięków, ilu bym przez całe swoje życie w nim odkryć i poznać nie mogła, i nie wydaje mi się, bym miała być pod tym względem wyjątkiem. Zdaje mi się, że to jest bardzo kobiece, ogólnokobiece... Ta chciwość, to pragnienie czuwania nad wieloma, wieloma skarbami, których nasz umysł nie ogarnia, a które można cenić i czcić... Bo tylko czcząc można kochać.

Biały śnieg pokrył ulice Warszawy i lekko skrzypiał pod ich stopami. Światło latarni załamywało się w sinawych smugach cienia. Upierzone drzewa stały ciche, nieruchome, dostojne.

– To nieprawda – powiedział po dłuższej pauzie Wilczur. – Przekona się pani kiedyś, że to nieprawda.

– Nigdy się o tym nie przekonam – zaprzeczyła z przekonaniem, lecz on zdawał się jej słów nie słyszeć i mówił dalej:

– To młodość dyktuje pani te słowa, to młodość podsuwa

te myśli. Brak doświadczenia. Miłość... miłość posłuszna jest ciału... posłuszna prawom natury, a duch? Duch jest duchem, jego miejsce w abstrakcji i nic na to nie pomoże.

W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy i Łucja powiedziała:

– Nie przekonałam się o tym i sądzę, że profesor zbyt pesymistycznie patrzy na te rzeczy.

– Bo ja się przekonałem – uśmiechnął się ze smutkiem. – Może kiedyś opowiem to pani, może kiedyś. Ku przestrodze. A teraz: oto mój dom. Dziękuję pani za miły spacer i rozmowę. Pani jest dobra, panno Łucjo.

Pocałował ją w rękę na pożegnanie.

Zdejmując futro w przedpokoju przejrzał się w lustrze i stwierdził, że jest nieogolony.

– Niech mi Józef – powiedział do służącego – codziennie rano przypomina, że muszę się ogolić.

– Codziennie wszystko jest przygotowane – z urazą w głosie zauważył służący.

– Tak, ale ja nie zawsze o tym pamiętam, nie zawsze pamiętam...

Wypowiedziane słowa przywiodły mu na myśl dzisiejszy artykuł w jednym z pism, znowu wałkujący sprawę śmierci Donata. Jakiś obskurant ukrywający się pod literami doktor X. Y. dowodził tam, iż całkowite uleczenie z amnezji jest prawie niemożliwe. Pamięć nigdy, zdaniem tego ignoranta, całkowicie nie wraca i muszą się powtarzać napady.

Co za absurd. I posługując się takimi sztuczkami usiłują go

zmusić do rezygnacji. Gdyby wiedzieli, że lecznica jest obecnie własnością towarzystwa asekuracyjnego, na pewno znaleźliby sposoby nowych intryg.

Przebrał się w szlafrok i zasiadł przed kominkiem. Józef przyniósł gorącą, pachnącą kawę i wieczorne gazety. Może umyślnie je tak położył, a może był to tylko przypadek, że rzuciwszy na nie okiem Wilczur odczytał na pierwszej stronie złożonego dziennika tytuł:

„Profesor Wilczur wypłacił rodzinie śp. Leona Donata milionowe odszkodowanie”.

Uplłynęło kilka minut zanim wyciągnął rękę po pismo.

„Dowiadujemy się – czytał – że towarzystwo, w którym był ubezpieczony tragicznie zmarły w lecznicy profesora Wilczura światowej sławy śpiewak polski Leon Donat, zagroziło niefortunnemu chirurgowi procesem o odszkodowanie. Wobec tego, że proces taki profesor Wilczur oczywiście by przegrał, gdyż śmierć wielkiego tenora nastąpiła wskutek karygodnego niedbalstwa i nieporządków panujących w zakładzie profesora, musiał on uiścić należność asekuracyjną, sięgającą zawrotnej sumy dwóch i pół miliona złotych. Jako pokrycie tej sumy na własność towarzystwa przeszła lecznica profesora, jego willa, niemal wszystko, co posiadał. Trudno nie współczuć znakomitemu chirurgowi, że dotknęła go nagła ruina, z drugiej jednak strony niech wypadek ten będzie przestrożą dla wszystkich tych lekarzy, którzy lekkomyślnie traktują życie powierzonych im pacjentów...”

Wilczur odłożył gazetę i szepnął do siebie:

– A więc stało się...

Znowu dolano oliwy do ognia. Czyjaś niedyskrecja sprawiła, czyjaś niedyskrecja albo zawzięte szpiegostwo, że podsycono znowu plotkę, że zacznie się nowa orgia napaści...

– Nie będę jadł, nie jestem głodny – powiedział służącemu, gdy ten oznajmił, że kolacja jest na stole.

– Może chociaż filiżanka bulionu?

– Nie, dziękuję. Niech mi Józef jeszcze da kawy... Tak, i koniaku.

Tej nocy profesor Wilczur wcale nie położył się do łóżka. Nadmiar wypitej kawy i alkoholu sprawił, że rankiem ujrzał w lustrze swą twarz poszarzałą, zmęczoną i obrzmiałą. Pomimo zmęczenia zmusił się do tego, by ogolić się starannie, i punktualnie zjawił się w lecznicy.

Nietrudno było zauważyć, że wczorajsza wiadomość z pisma była tu już wszystkim znana. Doktor Żuk, referując program dnia i stan chorych, nie ośmielił się wprawdzie zapytać Wilczura o nic, ale jego spojrzenia świadczyły, że pytania miał na końcu języka.

Program przewidywał sześć operacji: jedna trepanacja czaszki, trzy zestawienia złamanych kości w kończynach i wycięcie wyrostka robaczkowego czternastoletniej dziewczynce, którą przywieziono w nocy. Poza pierwszą wszystkie operacje były łatwe i zwykłe.

Po godzinnej wizytacji profesor przeszedł do sali operacyjnej. Od pamiętnego wypadku z Donatem każdego pacjenta

dodatkowo badał osobiście, sprawdzając stan jego serca i badając, czy nie cierpi na idiosynkrazję do któregośkolwiek z środków usypiających. Zabierało to sporo czasu, lecz wolał polegać tylko na sobie.

Pierwsza operacja trwała przeszło godzinę i udała się doskonale. Pogrypowy wrzód w mózgu został przecięty i oczyszczony. Następne poszły również łatwo. Ostatnią jednak Wilczur postanowił przesunąć o pół godziny. Musiał odpocząć. Nieprzespana noc i napięcie nerwowe zrobiły swoje. Gdy siedział w ubieralni, przyszedł Dobraniecki, przywitał się i powiedział:

– Mówił mi Rancewicz, że jest pan zmęczony. Może do tego wycięcia wyrostka robaczkowego wyznaczyć kogoś innego?

– Nie, dziękuję panu – blade uśmiechnął się Wilczur.

– Bo ja jestem teraz wolny... Ewentualnie...

– Nie. Dziękuję bardzo – nie mógł opanować poirytowanego tonu Wilczur.

Wstał i nacisnął dzwonek.

– Pacjentkę na salę – rozległ się za drzwiami głos sanitariusza.

Dobraniecki wyszedł. Wilczur otworzył podręczną szafkę, wyjął z niej słoik z bromem, wsypał dość dużą dawkę do szklanki, nalał wody i wypił.

Gdy przystępował do operacji, był już zupełnie opanowany i pewny każdego swego ruchu. Skośne cięcie było trafnie wymierzone. Kilka kropel krwi na białym podkładzie tłuszczowym i sinofioletowa gmatwanina kiszek. Rozżarzony drut aparatu elektrycznego krótkim, ostrym sykiem spełnił swoje

zadanie i obrzmiały wyrostek robaczkowy znalazł się w szklance z formaliną. Operacja dobiegała końca. W czterdziestej piątej minucie profesor Wilczur założył klamry.

– ...dwanaście, trzynaście, czternaście, piętnaście – liczył doktor Żuk narzędzia.

Chorą wywożono z sali.

– Brak jednej sztuki – spokojnie powiedział doktor Żuk.

Moment konsternacji. Profesor Wilczur, który już zdejmował maskę, powiedział ochryplym głosem:

– Z powrotem na stół.

Trzeba było po raz drugi otwierać jamę brzuszną dla wydobycia ze zwojów kiszek małego metalowego przedmiotu połyskującego niklem. Upał na sali operacyjnej i zmęczenie sprawiały, że Wilczur tylko ostatnim wysiłkiem woli utrzymywał swój mózg w świadomości, a ręce w sprawności. Czuł, że jest bliski omdlenia. Na szczęście wytrzymał do końca.

Pacjentkę zabrano już w chwili, gdy budziła się z narkozy. Zataczając się wyszedł za nią Wilczur na chłodny korytarz. Zdarł maskę i stał przez kilka minut oparty o parapet okna. Powoli odzyskiwał przytomność i siły. Zrozumiał też, że ten szum, który słyszy, jest skutkiem zbyt wielkiej dawki bromu. Z wolna skierował się do rozbieralni. Przy pomocy sanitariusza przebrał się, kazał sobie przynieść tu futro i kapelusz i nawet nie wstępując do swego gabinetu wyszedł na ulicę.

Tymczasem w lecznicy wrzało jak w ulu. Wprawdzie pozostawienie narzędzi operacyjnych w jamie brzusznej jest

dość częstym wypadkiem, który się przytrafia wielu chirurgom, powodując konieczność powtórnej operacji, profesor Wilczur jednak słynał z tak niesłychanej przytomności umysłu i spostrzegawczości, że nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło.

Oczywiście osoby asystujące przy operacji dostrzegły również osłabienie profesora, a doktor Żuk, obserwując go uważnie, przewidywał nawet omdlenie i przygotował się do tego, że osobiście zastąpi profesora przy dokończeniu operacji w razie wypadku.

Teraz cała elita zakładu zebrała się w gabinecie profesora Dobranieckiego, który mówił:

– Szanujemy go wszyscy, uznajemy jego zasługi, mamy dlań wiele sympatii, ale to nie powinno nam zamykać oczu na fakty: to jest stary człowiek, należy mu się odpoczynek, a nie daje sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Przecież podobne wypadki będą mu się zdarzały teraz coraz częściej. Nie wiem doprawdy, co począć.

Wśród ogólnych potakiwań rozległ się drżący głos doktor Łucji Kańskiej:

– Tu nie trzeba nic robić. Tu trzeba pootwierać okna i wywietrzyć tę ohydłą atmosferę, nad której wytworzeniem pracują ludzie złej woli. Trzeba przeciwdziałać wstrętnym plotkom, kłamstwom i oszczerstwom. Nie wiem, czy ktokolwiek zdołałby zachować spokój i równowagę wśród tych kalumnii, podłych, podstępnych intryg i krecich podkopów, którymi otoczono profesora Wilczura. To hańba! To wstyd! Ale myślą się

ci, którzy dla własnych brudnych korzyści chcą zmusić profesora Wilczura do upadku. Przeliczą się. Taki człowiek jak on nie ugnie się przed podłością nikczemnych intrygantów, wszyscy uczciwi staną po jego stronie!...

Profesor Dobraniecki przybladł i zmarszczył brwi.

– Wszyscy stoimy po jego stronie – powiedział dobitnie.

– Tak? Czy i pan też, panie profesorze? – spojrzała mu wprost w oczy.

Dobraniecki nie umiał ukryć wzburzenia.

– Moja droga pani. Wówczas kiedy pani jeszcze chodziła w pensjonarskim mundurku, ja wydałem biografię profesora Wilczura! Jest pani za młoda i zanadto pozwala pani sobie lekceważyć pewne dystansy. Nie uważam, bym potrzebował wyjaśniać to pani dobitniej.

Doktor Łucja zmieszała się: rzeczywiście między nią a Dobranieckim był taki dystans, jak między generałem a szeregowcem i tylko nagłe oburzenie pozwoliło jej o tym zapomnieć na chwilę.

Korzystając z tego, że Dobraniecki po ostatnim słowie odwrócił się do docenta Biernackiego, Łucja wyszła z gabinetu. Kolskiego znalazła na drugim piętrze, kończył właśnie opatrunek. Była tak roztrzęsiona, że powiedział:

– Czy się coś stało?

Potrząsnęła głową.

– Nie, nic. Nic ważnego. Tylko oni znowu coś knują... Chciałam z panem pomówić.

– Dobrze – skinął głową. – Za pięć minut będę wolny. Niech pani zaczeka w moim pokoju.

W jego oczach był smutek i niepokój.

Gdy przyszedł, siedziała przy biurku i płakała.

– Jakież obrzydliwy, jakież wstrętne jest świat.

Kolski delikatnie wziął końce jej palców i odezwał się tonem perswazji:

– Zawsze był taki. Walka o byt nie jest dziecinną zabawą ani grą towarzyską, tylko wojną, nieustającą wojną, w której zarówno zęby, jak i pazury są równie dobrą bronią jak słowa. Trudno. Tak już widocznie musi być. No, niechże się pani uspokoi, panno Łucjo, niechże się pani uspokoi.

Rozdział IV

Prezes Tuchwic w zamyśleniu stukał ołówkiem po pliku cienkich kartek zapisanych maszynowym pismem.

– Przeczytałem pański memoriał, panie profesorze – mówił, nie podnosząc oczu na siedzącego po drugiej stronie biurka Dobranieckiego – przeczytałem i muszę panu powiedzieć, że stawia pan mnie w niesłychanie przykrej sytuacji. Oczywiście muszę się zgodzić z niektórymi argumentami pańskimi, ale zarówno pod względem prawnym, jak i osobistym nie mogę tu nic zrobić.

Dobraniecki poruszył się w fotelu.

– Wybaczy pan, ale nic zrozumiałem.

Na twarzy Tuchwica zjawił się grymas zniecierpliwienia.

– Widzi pan, profesorze, ja się nie znam na tych waszych lekarskich rzeczach. Jestem finansistą i tu znam swoje zobowiązania. Otóż profesor Wilczur postąpił z nami bardzo *fair*. Postąpił jak dżentelmen. Oczywiście, mógł nie przyjąć na siebie winy, mógł zwalić ją na internistkę, która nie zbadała Donata. Oczywiście wówczas miałbym prawo domagać się współodpowiedzialności właściciela lecznicy i sąd na pewno by to przyznał. Jednak wątpię, byśmy wówczas mogli odzyskać całą kwotę, a poza tym sprawa ciągnęłaby się latami. To pierwszy punkt. Winienem mu jeżeli nie wdzięczność, to przynajmniej stosunek również *fair*...

– Ale chyba nie kosztem życia dalszych pacjentów – sarkastycznie wtrącił Dobraniecki.

– Oczywiście. Jeżeli jest tak, jak pan mówi i jak pan tu napisał, przyznaję, że profesor Wilczur powinien ustąpić. Ale ja go do tego zmusić nic mogę. Zawarłem z nim umowę, na mocy której pozostanie on kierownikiem lecznicy, póki sam zechce. To drugie. Jest i trzeci punkt. Widzi pan, mam w stosunku do Wilczura obowiązek wdzięczności. Przed wielu laty leczył on moją matkę i wówczas uratował jej życie.

W gabinecie zapanowało milczenie. Prezes powoli zapalił fajkę.

– Z tych wszystkich argumentów – odezwał się Dobraniecki – istotnym argumentem jest jeden: pańska umowa z Wilczurem. Ale i tu znajduję wyjście. Czy nie mógłby pan prezes pomyśleć o czymś w rodzaju emerytury? Sądzę, że na takie rozwiązanie sprawy profesor Wilczur mógłby przystać. Oczywiście pod pewnym naciskiem.

– Ale ja nie mogę wywierać żadnego nacisku – zaproponował prezes.

Dobraniecki zrobił pauzę.

– Skoro towarzystwo, którego pan jest prezesem, jest właścicielem lecznicy, musi panu zależeć na renomie tej lecznicy, bo renoma i tylko renoma jest jej główną wartością. Z chwilą gdy lecznica zacznie tracić opinię najlepszego zakładu tego rodzaju w stolicy, spadną też jej dochody, a zatem i obiektywna wartość.

– Rozumiem to dobrze – przyznał prezes. – Dlatego też muszę zapewnić pana profesora, że bynajmniej nie zamierzamy zatrzymać jej dla siebie. Gotowi jesteśmy sprzedać ją pierwszemu reflektantowi, który się zgłosi. Sprzedać nawet z pewną stratą.

Wzrok Dobranieckiego ożywił się.

– Za kilka miesięcy moglibyśmy o tym pomówić.

– Czy pan profesor?... – zaciekał się prezes.

Dobraniecki zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Nie ja sam. Nie rozporządzam takimi funduszami. Ale spodziewam się znaleźć paru lekarzy, którzy weszliby ze mną do spółki. Naturalnie mogłaby być o tym mowa tylko wtedy, gdy kierownictwo przeszłoby w inne ręce. Niech pan mnie źle nie rozumie, prezesie. Nie zależy mi bynajmniej na tym, bym to ja właśnie miał objąć dyrekcję. Chodzi mi przede wszystkim o bezpieczeństwo pacjentów i o utrzymanie na poziomie instytucji, której, śmiało to mogę powiedzieć, jestem współtwórcą.

Prezes wstał.

– Zastanowię się nad tym wszystkim, panie profesorze, i wkrótce dam panu odpowiedź.

– Będę jej oczekiwał z niecierpliwością usprawiedliwioną tym, że przedłużanie się obecnego stanu rzeczy doprawdy grozi poważnymi następstwami.

Prezes odprowadził Dobranieckiego do drzwi i znowu zagłębił się w swoim przepaścistym fotelu. Istotnie sprawa ta miała dlań nad wyraz przykry posmak. Gdyby to od niego

zależało, gdyby nie był odpowiedzialny za finanse towarzystwa, wolałby na to wszystko machnąć ręką i zostawić rzeczy ich własnemu biegowi.

Nie podobał mu się Dobraniecki. Oczywiście wiedział, że jest to osobistość ogólnie uznana i szanowana, uczony poważnej miary i człowiek odgrywający niemałą rolę w życiu towarzyskim Warszawy. Jednakże stosunek profesora do Wilczura wydał się prezesowi niesmaczny, a może nawet nielojalny.

Z drugiej wszakże strony o uszy prezesa nieraz się już objęły pogłoski potwierdzające dane zawarte w memoriale Dobranieckiego.

Tego wieczora prezes Tuchwic opowiedział przy kolacji żonie całą sprawę i usłyszał taką radę:

– Mój drogi, najlepiej postąpisz, jeśli zobaczysz się z Wilczurem i rozmówisz się z nim otwarcie.

– Masz rację – przyznał. – Zrobię to w przyszłym tygodniu.

O złożeniu przez Dobranieckiego memoriału w lecznicy wiadano, gdyż przy jego redagowaniu brało udział kilku lekarzy trzymających stronę autora. Oczywiście rzecz nie dała się utrzymać w tajemnicy i wkrótce dotarła też do wiadomości Wilczura. Wysłuchał tego w milczeniu, uśmiechnął się, wzruszył ramionami i nic nie powiedział. Nazajutrz w obecności kilku osób zwrócił się do Dobranieckiego:

– Należy mi się krótki urlop. Ponieważ właśnie nadchodzą święta Bożego Narodzenia, chciałbym prosić kolegę o zastępstwo, jeżeli oczywiście nie ma pan innych planów.

– Żadnych. Zostaję w Warszawie na święta. A pan wyjeżdża? Na długo?

– Na dwa, może na trzy tygodnie. Mam przynajmniej takie zamiary.

– Może do córki, do Ameryki?

– O nie – odpowiedział niechętnie Wilczur – to zbyt daleka droga.

Przypomnienie Marioli sprawiło mu przykrość. Właśnie przed paru dniami otrzymał od niej obszerny list. Wiadomości o śmierci Donata dotarły już do nich, jak również i to, że Wilczur zapłacić musiał olbrzymie odszkodowanie, które go zrujnowało. Wiedziała również Mariola o kampanii prowadzonej w Warszawie przeciw jej ojcu, w liście jednak nie znać było tego współczucia, którego tak mu było brak.

„Zmartwiliśmy się bardzo kłopotami Tatusia – pisała Mariola. – Ale Leszek ma słuszość, gdy mówi, że to może i lepiej, że Tatusz nie będzie się przepracowywał. W wieku Tatusia trzeba już więcej dbać o swoje zdrowie niż o zdrowie innych. Dzięki Bogu, nasza sytuacja materialna pozwala na to, by Tatusz mógł odpoczywać. Leszek, który bawi obecnie za interesami w Philadelphii, telefonował wczoraj do mnie i prosił, bym zapewniła Tatusia, że będzie mu wysyłał co miesiąc tysiąc dolarów, a nawet i więcej, jeżeli Tatusiowi to nie wystarczy”.

Poza tym jednym ustępem list zawierał garść informacji o materialnym powodzeniu Leszka i o jakichś nieważnych sukcesach towarzyskich ich obojga.

List ten głęboko zranił Wilczura. Jedyni bliscy mu ludzie uważali, że są wobec niego w porządku, jeżeli zatroszczą się o to, by nie brakło mu pieniędzy. I oni też, jak klika Dobranieckiego, uważali, że powinien wyrzec się swego umiłowanego zawodu, że nie jest już zdolny do pracy, że powinien ustąpić miejsca młodszemu.

Nie rozumieli tego, że dla niego wyrzeczenie się pracy byłoby gorsze od śmierci, że byłoby przyznaniem się przed światem i przed sobą do tego, że ani światu, ani sobie nie jest już potrzebny, że stał się rupieciem, ot, zużyтым narzędziem, które się po prostu wyrzuca na śmietnik. I to wtedy gdy bardziej niż kiedykolwiek pragnie pracować, działać, być użytecznym...

Nieprawdę powiedział Dobranieckiemu.

Nie zamierzał nigdzie wyjeżdżać. Chciał po prostu na pewien czas odetchnąć w samotności od widoku ludzi, dać wypoczynek nerwom, odzyskać dawny spokój, skupić myśli i odnaleźć w sobie te siły, które pozwolą mu przetrwać kampanię wrogów.

Zapowiedział też służącemu, by wszystkim zgłaszającym się, wszystkim bez wyjątku mówił, że „profesor wyjechał na kilka tygodni nie wiadomo dokąd” oraz by nikogo nie wpuszczał.

Stary Józef dokładnie zrozumiał polecenie pana i odprawiał od drzwi zarówno znajomych, jak i pacjentów profesora. Nie nudził go nawet zdawaniem relacji z tego, kto przychodził. Profesor też nie pytał o to.

Dwa pierwsze dni spędził w łóżku, następnego zabrał się do lektury zaległych czasopism fachowych i paru dzieł naukowych,

których jeszcze nie znał. Jego czynna natura zaczęła się jednak prędko buntować. Coraz częściej spoglądał na zegarek, który teraz przecie do niczego go nie przynaglał. Wkrótce stwierdził, że to odpoczywanie w gruncie rzeczy męczy go bardziej niż praca. Skonstatowawszy to, zabrał się do porządkowania notatek i innych materiałów, które od roku zbierał do zamierzonej rozprawy o chirurgicznym leczeniu sarkomy. Gdy już był z tym gotów, natychmiast przystąpił do pisania, a że każda praca absorbowała go bez reszty, od wczesnego ranka do późnej nocy przesiadywał przy biurku, wstając tylko po to, by w pośpiechu zjeść obiad lub kolację.

Skutkiem tego po tygodniu praca była skończona, co bynajmniej nie ucieszyło Wilczura. Zaczęła go ogarniać nuda. Myśli wciąż krążyły dookoła spraw związanych z lecznicą, a to bynajmniej nie wpływało dodatnio na stan jego nerwów. Wydobył z biblioteki kilkanaście tomów dawno zapomnianych, a niegdyś ulubionych poetów, lecz i to przecież nie mogło mu wypełnić nadmiaru wolnego czasu. Chodził bez celu po pokojach, godzinami stawał przed oknem, wyglądając w pustkę nieruchliwej ulicy.

Zaczął nawet skrupulatnie wypytywać Józefa o to, kto przychodził, kto telefonował i co mówił.

Pewnego dnia, stojąc przy oknie, zobaczył człowieka niosącego choinkę. Zajrzał do kalendarza i przekonał się, że to dzień Wigilii. Od lat, od bardzo wielu lat ta data straciła dlań to znaczenie uczuciowe, jakie miała wówczas, gdy dom ten był

domem rodzinnym, gdy do stołu wigilijnego siadał z Beatą, gdy pod choinką piętrzyły się stosy podarków dla małej Marioli...

I oto nagle ogarnęło Wilczura wprost bolesne poczucie samotności. Myśl przebiegła szybko przez galerię znajomych, współpracowników, kolegów.

Nie, żaden z nich nie był mu bliski, z żadnym nie łączył go cieplejszy stosunek...

Łucja... Profesor uśmiechnął się do siebie. Tak. To dobry, to genialny pomysł. Zatelefonuje do niej i zaprosi ją na wieczerzę wigilijną. Panna Łucja na pewno nie odmówi...

Ożywiony pomysłem, profesor Wilczur zaczął wertować szybko katalog telefoniczny. Gdy jednak znalazł numer Łucji, zawahał się.

Było przecież nie do pomyślenia, by ta młoda dziewczyna nie ułożyła już sobie jakiegoś planu spędzenia świąt, by nie została zaproszona przez kogoś już dawniej, przez kogoś na pewno ciekawszego, do jakiegoś wesołego, miłego domu, gdzie będzie choinka, gdzie są dzieci, gdzie zanurzy się w atmosferze rodzinnego ciepła, tego ciepła, za którym on właśnie teraz zateęsknił. Najprawdopodobniej zaprosiła ją rodzina Kolskiego, a może ci państwo Zarzeczy, o których tak często wspominała.

Profesor złożył katalog. Stanowczo nie miał prawa wyzyskiwać jej przychylności – może z litości – i zabierać jej ten piękny wieczór dla zaspokojenia swojej zachcianki.

Pomimo jednak rezygnacji Wilczur nie mógł przestać myśleć o Łucji, o jej dobrym, czułym i wrażliwym stosunku do

siebie, o stosunku, w którym tak wyraźnie dźwięczały najlepsze, najszlachetniejsze uczucia. Postanowił w każdym razie jednego z najbliższych dni zobaczyć się z nią, a dzisiaj należało w jakiś sposób sprawić jej przyjemność. Po namyśle nacisnął guzik dzwonka i powiedział do wchodzącego Józefa:

– Niech Józef pójdzie do najbliższej kwiaciarni, kupi tam jakieś dwadzieścia róż i każe odesłać pod adresem doktor Łucji Kańskiej. Adres jest w książce telefonicznej.

– Pan profesor napisze kartkę?

– Nie, nie – żywo zaprzeczył Wilczur – żadnej kartki.

– A jakiego koloru mają być róże?

Wilczur z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

– No... mogą być, czy ja wiem, jakie tam bywają?

– Czerwone, żółte, białe.

– Białe? To niech będą białe.

– A jeżeli białych nie znajdę? – pedantycznie zapytał służący.

– Oj, oj, niech Józef mnie nie nudzi. Przecież ja nie mogę się na tym znać. Poradzi się Józef tej pani w sklepie.

– Tak jest, panie profesorze.

Wrócił po godzinie i oświadczył, że za radą pani w sklepie wybrał różowe.

– Bo ta pani pytała, dla kogo, więc powiedziałem, że to dla młodej i nader pięknej osoby, ale bez miłosnych zamiarów. Więc ona rzekła, że najstosowniej będzie właśnie różowe, bo...

– Dobrze, dobrze – zachrząknął Wilczur. – Dziękuję Józefowi.

Gdy służący wyszedł, Wilczur powiedział do siebie:

– Strasznie gadatliwy zrobił się ten Józef.

W gruncie rzeczy Wilczur sam był temu winien, gdyż w ostatnich dniach z nudów wyciągał służącego na rozmówki. I tego dnia, gdy o zmierzchu posłyszał, że Józef kłóci się z kimś w przedpokoju, zawołał go później, by wypytać, kto to był i czego chciał.

– To jakiś bezczelny obszarpaniec, panie profesorze. Domagał się, bym go wpuścił do pana profesora, i ośmielał się, za przeproszeniem, mówić, że jest pańskim przyjacielem.

– Przyjacielem? – zdziwił się Wilczur. – A nie podał swego nazwiska?

– Owszem, tylko jakieś dziwne nazwisko. Nie wyglądał na Żyda, a nazywa się zupełnie po żydowsku. Jakoś Szekspir.

Profesor zaśmiał się.

– A na imię miał William?

– Tak właśnie, panie profesorze. A wódką od niego śmierdziało, za przeproszeniem, na trzy metry, więc widzę, że to człowiek nieodpowiedzialny, może nawet jakiś element. A nachalna bestia. Bo mu mówię, że pana profesora nie ma w Warszawie, to on mi powiada, za przeproszeniem, że jemu wystarczy jakieś, tylko nie pamiętam jakie, ale coś paskudnego, ciało spiralne, czy coś takiego. Dopiero jak mnie nazwał cemberem, nie wytrzymałem i wyrzuciłem go za drzwi. Oczywiście później zaraz ręce umyłem, bo od takiego to i różne bakterie mogą na człowieka przeskoczyć.

W tej samej chwili w zamkniętym pokoju nieużywanym podczas zimy, a wychodzącym na taras, rozległ się brzęk tłuczonej szyby. Józef podskoczył do drzwi. Nim zdążył je otworzyć, na progu ukazał się Cyprian Jemioł.

– Szekspir! – wrzasnął Józef. – Włamał się! Policja! Ja cię nauczę!

Chwycił przybysza za kołnierz, a górując nad nim wzrostem i siłą, trząśł nim niczym pies królikiem.

Jemioł zawołał bez większego oburzenia.

– Prezydencie, każ swemu Atlasowi, by dał spokój temu trzęsieniu ziemi. Każ mu szybko, bo sam go unieszkodliwię.

Wraz z ostatnim słowem zdzielił Józefa błyskawiczną sójką między żebra. Ugodzony puścił go od razu i klnąc odskoczył o parę kroków.

– Niech Józef mu da spokój – odezwał się profesor Wilczur.

– Może zawołać policję, panie profesorze? – z najwyższym oburzeniem powiedział służący.

Jemioł zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Zawołaj, archaniele, i każ się okulbaczyć. Pozwól mu, prezydencie, oddać się w ręce policji. Rzecz nie do odżałowania, że taka fizys jak jego nie znajduje się dotychczas w albumie policyjnym. Album czułby się zachwycony jego dostojną fizys. A teraz odejdz, niegodny Leporello, i zostaw nas samych, albowiem ma się ku wieczorowi.

Profesor dał znak ręką i Józef, który szykował się do ponownego skoczenia w stronę Jemioła, wzruszywszy

ramionami, skierował się do drzwi.

– Dawco wszelkich rozkoszy – zawołał pośpiesznie Jemioł.
– Rozkaż swemu mamelukowi, *darling*, by przyniósł jakiś płyn żrący, którym byśmy mogli napełnić nasze trzewia. Jako chirurg powinienes wiedzieć, że nic tak dodatnio nie wpływa na gojenie się ran, jak czterdziestopięcioprocentowy roztwór alkoholu. Doprowadź kurację do końca.

Profesor uśmiechnął się.

– Kiedy cię wypisano z lecznicy?

– Dzisiaj, *my beautiful friend*²⁰. *Aujourd'hui*²¹. Mglistym, grudniowym porankiem wyszedłem w świat chłodny i obcy, i każ mi dać wody, w imię miłości bliźniego lub jakiegokolwiek inne imię, jakie ci w danej chwili na myśl przyjdzie.

Na pytające spojrzenie służącego profesor odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy. Cyprian Jemioł swobodnie rozsiadł się w fotelu i gdy Józef wyszedł, zaśmiał się krótko.

– O, profan, o, ciemna masa. Sądził, że zamykając przede mną drzwi uniemożliwia mi zobaczenie ciebie, drogi mistrzu. Kiedyś wprawdzie były takie czasy, że drzwi istotnie stanowiły dla mnie jakąś zaporę. Upewniam cię, że to były czasy dawne. Mam zaś dziwne przyzwyczajenie nie wierzyć, że kogoś nie ma w domu, jeżeli go jednocześnie widzę przez okno. A właśnie idąc tu, ujrzałem w oknie twoje popiersie, *darling*.

²⁰ *my beautiful friend* (ang.) – mój piękny przyjacielu/przyjaciółko. [przypis edytorski]

²¹ *aujourd'hui* (fr.) – dziś. [przypis edytorski]

Profesor powiedział:

– Nie przyjmuję nikogo, bo chcę odpocząć. Dlatego służący otrzymał polecenie...

– *Satis*²². Przebaczam ci. Jestem wspaniałomyślny i wyrozumiały. Też czasami szukam odosobnienia, dzieje się to jednak tylko w tych wypadkach, gdy rozporządzając stosunkowo tylko nieznaczną ilością alkoholu narażony być mogę na czyjś łaskawy współudział w konsumpcji. Jak sądzę, ukrywasz się, mój drogi eskulapie, z jakichś innych powodów. Mniejsza o nie. Ja jednak musiałem ci złożyć podziękowanie za to, żeś moje doczesne szczątki pozszywał jakoś i doprowadził do stanu użyteczności publicznej. Właściwie mówiąc, nie wiem, czyś przez to nie obraził wieczności, która czeka na mnie z rozgorączkowaniem. Wyobraź sobie chóry anielskie i nie mniej efektowne chóry szatańskie, przekrzykujące się wzajemnie według wszelkich zasad operowych w sporze o moją wzniosłą duszę. A tu tymczasem jakiś facet, jakiś *homo simplex*²³, rozporządzający dziwną umiejętnością cerowania ludzkich kiszek, wydziera im tę pożądaną zdobycz.

Wilczur zaśmiał się.

– Nie było to tak trudne.

– W każdym razie uważałem za stosowne złożyć ci, *mon cher*, wizytę. I składam. Wybacz mi, że mój żakiet ma nieco przykrótkie poły i że nie wyglądam może *gentleman-*

²² *satis* (łac.) – starczy. [przypis edytorski]

²³ *homo simplex* (łac.) – prosty człowiek. [przypis edytorski]

*like*²⁴, ale powierzchowność jest stokrotnie zrekompensovana uroczystym nastrojem wewnętrznym. Patrz w moje oczy, a ujrzysz duszę moją w stroju galowym. Bez przesady muszę ci wyznać, drogi kardynale, że poczułem do ciebie niczym nieuzasadnioną sympatię i pociąg, który zaniepokoiłby mnie samego, gdyby nie pełnia przeświadczenia, że sprawy należące do departamentu Erosa zlikwidowałem już dawno ku obopólnemu, to znaczy mojemu i Erosa, zadowoleniu. Miłość, *cher ami*, jest wynalazkiem ludzi, którzy nie lubią myśleć, którym myślenie sprawia znaczne trudności. Jeżeli o mnie chodzi, nigdy w sobie tego nie zauważyłem. Myślę tak łatwo, jak ty na przykład łatwo scyzorykiem wycinasz w ludzkim ciele esyfloresey dla zaspokojenia swego instynktu rzeźnickiego.

Wszedł Józef z miną wyniosłą i pogardliwą, niosąc na tacy dwie butelki, koniaku i wódki, oraz kieliszki i kawę. Na jego widok Jemioł zawołał:

– Witaj mi, paladynie, majordomusie i czcigodny fagasie. Cieszę się, żeś dla swego pana przyniósł wódkę, a dla mnie koniak. Dostrzegam w tobie jednak pewne przebłytki inteligencji. Możesz liczyć na moją łaskę, stróżu domowego ogniska. Gdy cię profesor wyrzuci, zgłoś się do mnie. Kto wie, kto wie...

Służący z niezmaconym spokojem postawił na stoliku tacę i majestatycznie wyszedł. Wilczur powiedział:

– Czy wiesz, przyjacielu, że dzisiaj jest dzień wigilijny? Może

²⁴ *gentleman-like* (ang.) – jak dżentelmen. [przypis edytorski]

razem spędzimy ten wieczór?

Jemioł zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Mam już wprowadzić wcześniejsze zaproszenie do Prezesa Rady Ministrów i do księcia Radziwiłła, ale wolę zostać z tobą. Polubiłem cię, odkąd przekonałem się, że umiesz słuchać. Bo nie sztuka być zwykłym, głupim człowiekiem i chcieć ciągle gadać, by uzewnętrznić swoją pustkę duchową, sztuką jest umieć słuchać i dlatego, *carissime*²⁵, zostanę z tobą pod warunkiem wszakże, że gościnność twoja nie ograniczy się do tej ilości alkoholu, jaką widzę w tych naczyniach, a twoja małomówność do obecnych granic.

Ściemniło się już bardzo i Wilczur zapalił światło. Z sąsiedniej jadalni dobiegały odgłosy przygotowań do wieczerzy. Józef ustawiał nakrycia. Profesor zajrzał tam i powiedział:

– Józef nakryje na dwie osoby.

Był rad z towarzystwa tego dziwnego człowieka. Jego paplanina działała uśmierzająco. Pod powierzchnią nieokiełznanego gadulstwa kryły się czasem jakieś głębokie lub nieoczekiwane myśli, jakieś zaskakujące skojarzenia, które odrywały myśl od spraw własnych, skłaniając ją do abstrakcji. Czegóż bardziej Wilczur mógł teraz pragnąć?

Gdy zasiedli przy stole, Jemioł jadł mało, natomiast pił i mówił dużo. Józef z nie ukrywanym obrzydzeniem zmieniał mu talerze i przystawiał na nowo napełnione karafki.

– Podobasz mi się, przyjacielu. – Poklepał służącego po

²⁵ *carissime* (wł.) – najdroższy. [przypis edytorski]

ramieniu. – Możesz liczyć na mnie. Jeżeli cię twój patron pewnego pięknego dnia zdymisjonuje, zgłoś się do mnie. Polecę cię memu stałemu hoffliferantowi, ze wszech miar czcigodnemu Drożdżykowi. Powiedz mi tylko, czy potrafisz dość sprawnie wyrzucać mniej sympatycznych gości za drzwi?

Na dostojnej twarzy Józefa wystąpił wyraz gwałtownego pożądanía. Zrobił pół kroku naprzód, a jego ręce wykonały takie pół gestu, jakby natychmiastowym czynem chciał udowodnić, że niczego tak dobrze nie potrafi, jak właśnie wyrzucać niepożądanych gości za drzwi. Jemioł jednak na to nie zwrócił uwagi i mówił do Wilczura:

– Czyś się zastanawiał kiedy, *signore*, nad dziwną tajemniczością mechanizmu socjologicznego, w którym zawsze jest pewne *quantum* ludzi, co upodobali sobie helotyzm? Predystynowani pariasi. Niewolnicy z przeznaczenia i z własnego musu. Ich posłannictwem – służyć...

– Każdy komuś lub czemuś służy – zauważył Wilczur.

Jemioł potrząsnął głową.

– *Tournement de tête*²⁶, *amigo*. Nikomu nie służę. Ja. Oto masz mnie w całej okazałości przed sobą. Nikomu i niczemu. Wolność. Czy rozumiesz słowo „wolność”? Ja je zrozumiałem przed przeszło trzydziestu laty. Kiedyś i ja byłem niewolnikiem, niewolnikiem posiadającym niezliczoną ilość panów. A więc: państwo, a więc naród, a więc religia, a więc uczucia najrozmaitszego gatunku i kalibru, a więc honor, ambicje... Nie

²⁶ *tournement de tête* (fr.) – tu: zawracanie głowy. [przypis edytorski]

do przeliczenia. I nagle pewnego pięknego dnia zobaczyłem, jak straszliwie jestem w tym wszystkim uwikłany. Ogarnęło mnie zdumienie, a później śmiech pusty. I oto pełnym gracji susem wyskoczyłem z tego całego śmietnika, wyzwolony, niezależny, swobodny. Nawet nie obejrzałem się za siebie, by zobaczyć, jakie po sobie zostawiłem gruzy. I nic już dziś nie zdoła zakłócić mojej wolności.

– Chyba policja – mruknął pod nosem Józef.

Jemioł dosłyszał tę uwagę. Podniósł palec do góry i zwracając się do służącego, powiedział:

– O ciemna maso! Ssaku wszystkożerny, związany myślą ze swym cielskiem. Ty nigdy nie trafisz do beczki Diogenesa, ty nigdy nie wzniesiesz się na *dirigeable'u*²⁷ swego ducha ponad własny kadłub. *Odi profanum vulgus*²⁸!... Oczywiście często i chętnie siaduję w więzieniu, ale duch mój nic nie traci ze swej wolności. *Spiritus flat ubi vult*²⁹. Nawet wtedy, gdy brak spirytusu. Nalej mi jeszcze i oddał się, gdyż twoja doczesność przestania mi perspektywy wieczności.

Wilczur skinał głową.

– Może już Józef iść.

Józef skwapliwie skorzystał z tego pozwolenia, zanim jednak poszedł do kuchni, starannie pozamykał wszystkie pokoje, szafy

²⁷ *dirigeable* (fr.) – tu: sterowiec. [przypis edytorski]

²⁸ *odi profanum vulgus* (łac.) – nienawidzę nieoświeconego tłumu. [przypis edytorski]

²⁹ *spiritus flat ubi vult* – duch leci, gdzie chce. [przypis edytorski]

i szuflady. Ten Szekspir nie wzbudzał w nim najmniejszego zaufania. Józef skłonny był nawet przypuszczać, że byłoby wskazane natychmiastowe zadzwonienie do komisariatu, i długo nie mógł zasnąć, zastanawiając się nad tym, czy nie popełnił błędu, zostawiając profesora sam na sam z tym obrzydliwym człowiekiem.

– Tak, cesarzu – mówił tymczasem Jemioł, chwiejąc przed nosem kieliszek opróżniony przed chwilą. – Tak, cesarzu. I znowu cię widzę w nie najlepszej formie. Wtedy, o ile mnie moja genialna pamięć nie myli, jakaś kobieta rozpruła ci serce... Posłuchaj mnie: oddaj diabłu, co jego, wszystkie kobiety, wszystkie, od najstarszej wiedźmy z Łysej Góry, aż do najmłodszej pensjonarki. To jego departament. Niech je wszystkie cholera weźmie! Co mogą inteligentnego człowieka obchodzić stworzenia po obu końcach uwięzione w ciasnocie? W ciasnocie mózgu i pantofli. A w środku brzuch i te tam części rodne. Jakąż satysfakcję może dać człowiekowi przykładanie swoich ust, powtarzam, do umalowanego otworu gębowego istot o kurzym mózdzku, o instynktach zwierzęcych, wyzutyh z sumienia! Nie, władco, to nie jest zajęcie dla przyzwoitego człowieka. Zły wybrałeś sobie temat do tragedii.

Profesor Wilczur uśmiechnął się blado.

– Mylisz się. Nie mam żadnej tragedii. Nie przeżywam żadnej tragedii.

Jemioł przymknął lewe oko, a drugie, nabiegłe krwią, wlepił bacznie w twarz Wilczura.

– A jednak dręczy cię jakieś strapienie, *darling*. Jestem złym tenisistą, nieszczęśliwie boksuję się, śpiewam podobno nie najpiękniej, a jeszcze gorzej gram na organach, ale psychologiem jestem wprost świetnym. Nie namawiam cię do zwierzeń. Nie lubię spowiedzi. Jedną z najnudniejszych rzeczy na świecie jest wysłuchiwanie cudzych grzechów. Ale tym razem zrobię ci łaskę. Znaj pana. Bo trzeba ci i to jeszcze wiedzieć, hrabio, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, przed którym możesz się bezpiecznie wywnętrzyć bez obawy, że cię spotka ironia, współczucie, *Schadenfreude*³⁰, litość czy jakieś podobne paskudztwa. Będę obojętny jak mur. Jestem bodaj do tego wynaleziony, chociaż Żydzi już przed paru tysiącami lat wynaleźli swoją ścianę płaczu. Przysiadaj tedy, rabbi, u mego podnóża i płacz. Nad kim chcesz płakać, *amigo*? Dzieci, wdowy, sieroty, niepowodzenia w interesach, krach giełdowy czy w ogóle *mirowaja skorb*³¹?

Wilczur potrząsnął głową.

– Ludzie... Ludzie... Żli ludzie.

Jemioł wybuchnął śmiechem.

– Krzysztofie Kolumbie! O Newtonie! O Koperniku! Odkrywco nowych prawd! Cóż za rewelacja, co za spostrzegawczość! Szanowny radca zauważył, że ludzie są źli? A jacyż mają być? Chciałbyś ich, *maestro*, zmienić w

³⁰ *Schadenfreude* (niem.) – radość z niepowodzeń innych. [przypis edytorski]

³¹ *mirowaja skorb'* (z ros.) – cierpienie z powodu tego, jaki jest świat; *Weltschmerz*. [przypis edytorski]

chóry anielskie? Wymagałoby to trochę wysiłku. Należałoby ich wysterylizować z tego wszystkiego, co jest treścią życia. Jesteś chirurgiem, przeprowadź więc trzy amputacje: amputację kieszeni, amputację żołądków, no i tak dalej. Wówczas staną się jako barankowie. Źli ludzie... Nie ma innych. To albo tłuste bydłeta warujące nad swoją zdobyczą i przeżuujące własne sadło, albo wściekłe psy skaczące do gardła. Nie ma innych.

Jemioł wstał i waląc pięścią w stół powtarzał w nagłym wybuchu furii:

– Nie ma, nie ma, nie ma!...

– Nie podzielał twego pesymizmu, przyjacielu – spokojnie powiedział Wilczur. – Sam znam innych...

– Na Marsie? Na Księżycu?... Na jakiej planecie? – wrzasnął Jemioł.

– Na naszej. Na Ziemi.

– Ach, tak? – zaśmiał się szyderczo Jemioł i nagle się uspokoiwszy, zapytał układnym tonem:

– Czy może mi szanowny pan podać adres?

Wilczur wsparł podbródek na rękę.

– Dużo takich adresów musiałbym ci podać, przyjacielu. Dużo jest ludzi dobrych.

– W takim razie, ach, jakże świetnie się ukrywają... No, twoje zdrowie, Święty Franciszku. Twoje zdrowie.

Jemioł wychylił duszkiem swój kieliszek, odłupał palcem kawałek łososia z półmiska, przełknął i machnął ręką:

– *Reverendissime*³², adres znam tylko jeden: twój. Drugiego podać ci nie mogę, bo nie posiadam stałego miejsca zamieszkania. Kieruj zainteresowanych: *Établissement Drożdzyk. Poste restante.*

– To nieprawda – powiedział Wilczur. – Jest ich wielu. Tylko widzisz, trudno ich dostrzec. Są mniej aktywni od złych. Nie zwracają na siebie uwagi. Zajęci swoją spokojną pracą zadowolają się zwykłym kawałkiem chleba, a tamci walczą o byt *per fas et nefas*³³.

– Ach – przerwał Jemioł. – Taki robisz podział, *my dear*³⁴, zgoda. Ale weź w takim razie pod uwagę, że ci aktywni po prostu żywią się tamtymi. Tamci, którzy nie walczą o byt, po prostu spełniają rolę paszy. Rośnie trawka, rośnie, a gdy wyrośnie na chwałę bożą, przyjdzie jakiś sukinsyn, zeżre ją, ot i po trawce. Cha, cha. Czyś się zastanawiał kiedy, co to jest miasto? Miasto to wynalazek szatana, a wieś to trawka. Miasta pożerają wieś. Im więcej żrą, tym są chciwsze. *L'appetit vient en mangeant*³⁵. Pęcznieją te potwory, dławią się w gorączce pożerania, pławią się we własnych ekskrementach, bo przecież wszystkiego przetrawić nie mogą... Miasta...

Nalał sobie znowu kieliszek i mówił:

³² *reverendissime* (łac.) – z najwyższym szacunkiem. [przypis edytorski]

³³ *per fas et nefas* (łac.) – nie przebijając w środkach; godziwymi i niegodziwymi sposobami. [przypis edytorski]

³⁴ *my dear* (ang.) – mój drogi. [przypis edytorski]

³⁵ *L'appetit vient en mangeant* (fr.) – apetyt rośnie w miarę jedzenia. [przypis edytorski]

– Nienawidzę miasta, ale pociąga mnie potwornością swoich ohydnych procesów trawienia. Tkwię w jego kiszkaach. I jeżeli nie duszę się, to tylko dlatego, że sam jestem jego produktem. Oto dzieło!

Wstał, upozował się po napoleońsku. Jego zmierzwiłone włosy błyszczące od potu, nieogolona i brudna twarz, oczy szkliste i pijackie, łachmany jego ubrania, wszystko to składało się na wstrętą i groźną całość.

– Oto *chef-d'oeuvre*³⁶ – zapał teatralnym tonem. – Oto arcydzieło miasta, oto kwiat naszej cywilizacji, oto kwintesencja postępu!...

Wilczur wzdrygnął się. Istotnie w słowach swego dziwnego gościa odczuł jakąś prawdę, istotnie tragikomiczna postać Jemiola kojarzyła się w jakiś sposób z tym, co mówił.

Profesor wstał i zbliżył się do okna.

„Miasto – myślał – miasto chciwych zwierząt...”

Ulica była pusta. Skądś z daleka dolatywały jakieś miarowe dźwięki. Minęła dłuższa chwila, zanim je rozpoznał: dzwony.

Dzwoniono na pasterkę.

³⁶ *chef-d'oeuvre* (fr.) – arcydzieło. [przypis edytorski]

Rozdział V

Wróciwszy od znajomych z willi Łucja zastała w swoim pokoju dużą wiązaną róż. Przepadała za kwiatami, te jednak były dla niej przykrą niespodzianką. Oczywiście nie wątpiła, że przysłał je Kolski, chociaż przy kwiatkach nie było kartki.

„Po co on to robi, po co on to robi” – pomyślała z przykrością.

W takim anonimowym przysłaniu kwiatów było coś studenckiego i coś mieszczańskiego zarazem. Przecież tyle razy dawała mu do zrozumienia, że z jej strony nie może liczyć na nic więcej poza sympatią i przyjaźnią. Lubiła go szczerze, szanowała jego prawość i charakter, ale był przecież dla niej tylko kolegą i tylko kolegą mógł pozostać.

Ilekczo zdarzało się tak, że zostawali sam na sam i właśnie oboje nie mieli pilnej roboty, Kolski zawsze próbował skierować rozmowy na tory ściśle osobiste. Kosztowało ją to wiele trudu i dyplomacji, by nie dopuścić do tego. Nie chciała mu przecież sprawiać przykrości. On jednak zdawał się nie rozumieć motywów, jakimi się kierowała, lub nie czuć w jej postępowaniu tego, że na jej uczucia liczyć nie może, gdyż wciąż i uparcie powracał do swego tematu.

Właściwie nic nie miała mu do zarzucenia. Może tylko to, że całkowicie był pochłonięty swoją karierą, że wciąż pracował, uczył się i studiował, że starał się coraz lepiej zarabiać i wprost pojąć nie umiał jej postępowania. Przecież nie dawniej jak przed

paru dniami omal się z tego powodu nie pokłócili.

– Nie rozumiem pani stosunku do swojej przyszłości – powiedział. – Traci pani czas na praktykę, która nie tylko nie przynosi pani ani grosza dochodu, ale i nie posuwa pani o krok naprzód w doświadczeniu czy wiedzy lekarskiej.

– Bo pan jest egoistą – odpowiedziała mu obojętnym tonem.

Oburzył się szczerze:

– Wcale nie jestem egoistą, tylko uważam, że na to, by rozdawać, trzeba przede wszystkim mieć. Otóż gdy będę naprawdę lekarzem w całym znaczeniu tego słowa, gdy będę miał dobrą praktykę, pozwalającą mi i mojej przyszłej rodzinie na dostatni byt, zapewniam panią, panno Łucjo, że tak samo jak pani dzisiaj zaopiekuję się jakimiś ochronkami czy domami starców. Profesor Wilczur, którego pani stawia tak wysoko, zapewniam panią, a zresztą wiem to ponad wszelką wątpliwość, że na początku swojej kariery też nie miał szалу filantropii, tylko pracował nad sobą i dla siebie.

Łucja wzruszyła ramionami.

– Tu nie chodzi o filantropię. Jakże dalece pan mnie nie rozumie. Ja nie przez filantropię opiekuję się biedakami.

– No więc wszystko jedno. Możemy to nazwać, jeżeli pani z tym dogodnie, poczuciem obowiązku społecznego.

– Ależ nie, panie Janie. Nie może być mowy o obowiązku tam, gdzie jest przyjemność. Ja to robię dla siebie. Sprawia mi radość fakt, że mogę się na coś przydać, że jestem naprawdę potrzebna tym ludziom, których nie stać na lekarza, na lepszego lekarza.

– Zgoda. Akceptuję z jednym zastrzeżeniem: najpierw trzeba się stać owym lepszym lekarzem, więcej czasu poświęcić studiom w klinice, a nie jakimś tam standardowym chorobom, które pani niczego nie nauczą.

Spojrzała mu prostu w oczy.

– Niech pan mi powie, czy tacy właśnie gorsi lekarze jak ja nie będą tej biedocie zawsze potrzebni?

Zirytował się.

– Zapewne, ale dlaczego ma tym zajmować się pani, grzęznąc w tym kosztem swoich zdolności i możliwości na przyszłość!

– O, widzi pan: egoizm. Moich zdolności, moich możliwości. Ale nie liczy się pan z tym, że może właśnie nie szukam żadnych innych możliwości, że może właśnie największą znajduję przyjemność w takim, a nie w innym zużytkowaniu moich zdolności. Jakiż pan jest zabawny w swoim zaślepieniu. Wydaje się panu, że wszyscy ludzie muszą mieć te same upodobania i te same pragnienia co pan.

– Nie te same, tylko rozsądne, rozsądne!

Chciała mu odpowiedzieć, że rozsądek w jego interpretacji redukuje się do kwestii buchalteryjnych, ale pohamowała się.

W każdym razie rozmowa ta nieco oziębła ich stosunki i otrzymane obecnie róże Łucja mogła uważać za formę jakby przeprosin. Domysł ten zirytował ją trochę. Z kilku względów. Po pierwsze znała daleko posuniętą oszczędność Kolskiego, który ze swoich niedużych zresztą wpływów musiał wydać pokaźną sumkę na te kwiaty, oczywiście nie bez namysłu i nie

bez tego, że wydatku tego długo nie zapomni.

Po wtóre, miała wrodzoną niechęć do przyjmowania czegokolwiek od ludzi, którym nie mogła lub nie chciała się zrewanżować. Wreszcie zdawała sobie sprawę, iż anonimowość przesyłki była szczególniejszym poświęceniem ze strony Kolskiego. Wierzyła, że należy on do tego typu ludzi, którzy może nie gonią specjalnie za rozgłosem, zawsze jednak dążą do podkreślenia swojej obecności w różnych sprawach, we wszystkich sprawach, w których biorą udział.

Te przywary Kolskiego nie wywoływały w Łucji oburzenia, raczej patrzyła na nie pobłaźliwie. Pomimo to postanowiła zrobić mu wymówkę za przysłanie kwiatów i wyraźnie podkreślić, że nie życzy sobie podobnych dowodów pamięci.

Sposobność ku temu znalazła zaraz po świętach. Już w późnych godzinach wieczornych, pracując w laboratorium lecznicy przy badaniu mikroskopowym krwi jednego z pacjentów, usłyszała za sobą kroki Kolskiego. Korzystając z tego, że może wygłosić swoje uwagi, nie patrząc w oczy Kolskiemu, odezwała się z pełnią pewności siebie:

– Dobrze, że pan przyszedł. Właśnie chciałam z panem pomówić. Po co pan robi takie rzeczy? Proszę mi wierzyć, że nie mogę panu nawet podziękować, bo nie sprawiło mi to żadnej przyjemności.

Kolski zdziwił się szczerze:

– Nie wiem, o czym pani mówi, panno Łucjo.

– Niech pan nie udaje. Mówię o kwiatkach. Robi pan

bezsensowne wydatki, jakieś prezenty, które nie licują ani z panem, ani ze mną.

– Nic nie wiem o żadnych kwiatach – powiedział stanowczo.

Przyszło jej na myśl, że sam ocenia teraz należycie bezsensowność swego pomysłu i wyzyska anonimowość przesyłki, by nie przyznać się do niej.

– Nie sądziłam, że ma pan tak mało odwagi cywilnej – powiedziała chłodno.

Kolski milczał przez dłuższą chwilę.

– Panno Łucjo – zaczął – na pewno zaszło tu jakieś nieporozumienie. Ktoś chciał zrobić pani czy mnie, czy nam obojgu kawał i podszył się pod moje nazwisko. Odwagi cywilnej nie brakowało mi nigdy, a zresztą dlaczegóż bym miał się wstydzić tego, że pani posyłam kwiaty? I zrobiłbym to na pewno – dodał po chwili wahania – gdybym nie wiedział, że u pani podobne objawy... przyjaznych uczuć nie znalazłyby aprobaty.

Łucja odwróciła głowę i spojrzała nań zdziwiona: nie ulegało wątpliwości, że mówił prawdę.

– Więc te róże to nie od pana?... Przesłano je anonimowo... Wobec tego przypuszczałam... Bardzo pana przepraszam.

Sytuacja obojga była bardzo nieprzyjemna. Łucja czuła się tak, jakby usiłowała w tego człowieka wmówić, że ją adoruje w większym stopniu niż w rzeczywistości. Kolski był w rozpacz, że popełnił karygodny błąd i na święta nie ofiarował Łucji drobnego upominku gwiazdkowego. Mogło wyglądać na to, że wcale o niej nie pamiętał. A może Łucja umyślnie stworzyła owe

róże dla podkreślenia tej jego nieuwagi?...

Stał przy stole laboratoryjnym, patrząc z zażenowaniem na jej lekko pochyloną postać w białym lekarskim kitlu, na jasne włosy, na mocniej niż zwykle zarumieniony policzek, na bardzo białe ręce, za szerokie może i za muskularne, manipulujące przy mikroskopie.

– Bardzo pana przepraszam – powtórzyła.

– O, nie ma za co – odezwał się niezręcznie.

– Jest za co, bo posądziłam pana o robienie głupstw – odpowiedziała rzeczowo.

– To wcale nie było głupstwo – zaproponował. – Właściwie to ja panią muszę przepraszać, że nie pamiętałem o gwiazdce dla pani.

Lekko wzruszyła ramionami.

– Nie widzę żadnej racji, by właśnie pan miał pamiętać o gwiazdce właśnie dla mnie. Najmniejszej.

Zawahał się.

– Racja jest w tym, że należy pamiętać o tych osobach, które uważamy za najbliższe sobie...

Domyślając się, do czego Kolski zmierza, Łucja przerwała mu śmiechem:

– Właśnie. Czy nie za długo jesteśmy blisko. Zdaje się, że pan już powinien być na swoim oddziale. Już za kwadrans jedenasta.

Kolski jednak nie dał się zbić z tropu.

– Dlaczego pani nie chce mnie wysłuchać, panno Łucjo? Dlaczego za każdym razem, kiedy pragnę pani powiedzieć to,

co czuję, co czuję już od dawna, czym żyję, co wypełnia moje myśli... Dlaczego pani...

Nie podnosząc głowy znad mikroskopu, powiedziała prędko:

– Dlatego, że to jest niepotrzebne i bezcelowe.

– Przecież pani wie, pani nie może nie wiedzieć, że panią kocham – zawołał porywczo.

– Wiem, że się panu to wydaje. – Szybko wyjmowała szkiełka z mikroskopu. Zrobiła kilka notatek na formularzu i wstała.

On zagroził jej drogę.

– Panno Łucjo, nie odejdzie pani, póki mnie pani nie wysłucha. Dlaczego?... Co pani ma mi do zarzucenia?

– Nic panu nie mam do zarzucenia.

– Więc dlaczego?... Dlaczego pani z taką pogardą, z taką bojaźnią, czy ja wiem, sam tego nie umiem określić, odtrąca moje uczucie?

Potrząsnęła głową.

– Nie odtrącam. Po prostu nie mogę go przyjąć, bo nie jestem w stanie odpłacić się panu tym samym.

– Czyż żądam od pani tego? Czyż żądam od pani czegokolwiek? Chcę tylko, by pani mi pozwoliła mówić sobie o mojej miłości. Chcę tylko mieć nadzieję, że kiedyś zasłużę sobie na to, że i w pani sercu odezwie się, już niech tam, nie miłość, lecz bodaj odrobina sympatii, życzliwości, łaskawości...

Spojrzała mu wprost w oczy.

– Panie Janku. Chcę, by pan mnie zrozumiał. Żywię dla pana dużo sympatii i dużo życzliwości, ale wiem, mam sprawdzian,

że to jest bardzo mało w porównaniu z tym, co mogę, co musiałabym żywić dla człowieka, z którym pragnęłabym się połączyć. Nie jestem dzieckiem, mam już 26 lat. Powinien pan wiedzieć, że umiem na życie, na ludzi i na siebie patrzeć trzeźwo. Uważam pana za najmilszego z moich kolegów i jeżeli, jak pan to słusznie zauważył, tak długo starałam się nie dopuścić do tej rozmowy, to jedynie z tej przyczyny, że wcale nie chcę stracić pańskiej przyjaźni, którą bardzo cenię. Skoro pan jednak zmusił mnie do tego, obowiązkiem moim jest zapewnić pana, że nie kocham go, że nie kocham i że nigdy nie pokocham.

Kolski stał blady, z jakimś beznadziejnym uśmiechem na wargach. Żal ścisnął serce Łucji.

– Naprawdę przykro mi, panie Janku – wzięła go za rękę – ale sam pan przyzna, że lepiej postępuję, mówiąc to wszystko panu szczerze, niż gdybym zwodziła pana jakimiś obietnicami, których nie mogę i nigdy nie będę mogła dotrzymać.

– Więc nie zostawi mi pani nawet cienia nadziei? – zapytał cicho.

– Nawet cienia, panie Janku. I niech pan o to nie żywi do mnie żalu.

Zebrała ze stołu formularze i skierowała się ku wyjściu. Gdy już była przy drzwiach, zawołał:

– Panno Łucjo, jeszcze jedno pytanie.

Zatrzymała się.

– Pani... pani kocha innego?

– Czy to jest takie ważne? – zapytała po pauzie.

– Bardzo ważne – powiedział z naciskiem.

– Tak, kocham innego.

– Jeszcze jedno. Kocha pani... Wilczura?

Nic nie odpowiedziała. Kolski zbliżył się do niej.

– Ależ to szaleństwo, panno Łucjo... Przecież to człowiek stary... człowiek sterany życiem... Czego pani może się spodziewać po nim?... Pani sama wie, ile mam dla niego czci i uwielbienia... Nie mówiłbym pani tego wszystkiego, gdybym nie zdawał sobie sprawy z potwornej niedorzeczności samego zestawienia: on i pani. On, który kończy życie, i pani, która je zaledwie zaczyna. On, w którym już niejedno uczucie na pewno zrodziło się i umarło, i pani, która ich wcale nie zaznała. Przecież to szaleństwo. Szanuję go i wiele mu zawdzięczam, ale panią kocham i moim obowiązkiem jest powiedzieć to wszystko pani. Panno Łucjo, niechże się pani sama zastanowi, co on może pani dać! Co on może dać pani!...

Na twarzy Łucji zjawił się uśmiech.

– Dać?... Dać?... Jakże bardzo pan mnie nie zna... najwięcej mi da, wszystko mi da, gdy zechce przyjąć. Przyjąć to, co ja mu dać mogę.

Patrzyła na Kolskiego, lecz on czuł, że go jakby nie widzi. W jej wzroku był smutek i uśmiech jednocześnie.

Stała tak chwilę, potem z wolna odwróciła się i wyszła. Kolski przez kilka minut nie ruszył się z miejsca. Jeszcze przed chwilą buntowało się w nim wszystko przeciw klęsce, teraz jednak ogarnęła go apatia. Stał otóż przed czymś, czego rzeczywiście

nie mógł zrozumieć, nie umiałby osądzić kategoriami zwykłego rozsądku, miarami, które przyzwyczyił się stosować do rzeczy ludzkich, miarami opartymi na prawach, którym wierzył. I nagle uświadomił sobie, że zupełnie Łucji nie znał, że nie ma pojęcia o jej psychice, o psychice w ogóle kobiet.

Pomimo ukończonej trzydziestki miał aż nazbyt skąpe zapasy doświadczeń z tej dziedziny. Pochodząc z niezamożnej rodziny, od wczesnego dzieciństwa zdany na własny los, rozwinął w sobie instynkt przetrwania i zrozumienia dla tych praw, które rządzą walką o byt. A ponieważ niczemu nie umiał oddawać się połowicznie, wgryzł się w rzeczywistość, rzeczywistością zaś dlań była praca i ustawicznie czynny bodziec: naprzód, więcej, lepiej!

Pod takim znakiem układało się też jego życie. Na osobiste przyjemności, na rozrywki udawało mu się uszczknąć z rzadka zaledwie kilka godzin, znajomości zaś z kobietami zaliczał właśnie do rozrywek. Do czasu poznania Łucji.

Na oddziale wszystko było w porządku. Noc zapowiadała się spokojnie. Mógł śmiało położyć się w dyżurce, by się przespać, do snu jednak nie miał najmniejszej ochoty. Stopniowo porządkował myśli, a z nich zaczął się coraz wyraźniej wyłaniać projekt: skoro Łucja jest tak dalece nierozsądna, należy zrobić wszystko, by utrudnić jej, by jej uniemożliwić popełnienie takich błędów, które mogłyby zaważyć na całej jej przyszłości.

Naturalnie wszelkie perswazje nie mogą odnieść żadnego skutku. Co do tego nie miał złudzeń. Pozostawało tedy tylko

odsunięcie jej w jakiś skuteczny sposób od Wilczura. Ale w jaki?... Na to długo nie mógł znaleźć odpowiedzi. Gdyby był z profesorem w tak bliskich i zażyłych stosunkach, by móc sobie pozwolić na otwartą i szczerą z nim rozmowę, miałby pewne szanse przeprowadzenia swego planu. Kolski nie wątpił, że temu rozumnemu człowiekowi trafiłby łatwo do przekonania. Niestety sama sprawa była zbyt intymna, zbyt osobista, by móc ją poruszyć, a w dodatku narażałaby Kolskiego na to, że Łucja, dowiedziawszy się o jego niewczesnej interwencji, w ogóle zerwałaby z nim wszelkie stosunki.

Nie, to było do niczego.

Zostawała otwarta inna kwestia. Wszyscy w lecznicy zdawali sobie sprawę z tego, że wkrótce, za rok, może za pół roku, profesor Wilczur pod presją opinii będzie musiał zrezygnować i z lecznicy ustąpić. Dotychczas Kolski myślał o tej ewentualności ze smutkiem, teraz jednak wydało mu się to możliwością nader pożądaną. Ze względu na Łucję. Co do niej był przekonany, że uda mu się, pomimo zatargu, w jakim znajdowała się z profesorem Dobranieckim, utrzymać jej pozycję w lecznicy. Wiedział, że Dobraniecki z nim się liczy, że liczy się z jego popularnością u kolegów i że w pierwszym okresie swej władzy nie odważy się na zbyt radykalne zmiany, że będzie unikał zatargów i że raczej postara się zjednać sobie personel. A później jakoś się rzeczy ułożą. Ostatecznie Łucja jako lekarz ma duże zalety: pracowitość, obowiązkowość, intuicję. Z czasem Dobraniecki pogodzi się z nią...

Rozmyślenia te doprowadziły Kolskiego do wniosku, że w interesie własnym, a przede wszystkim w interesie Łucji nie należy działać w kierunku zatrzymania Wilczura jak najdłużej na stanowisku. Przeciwnie, wskazane jest raczej współdziałać z tą grupą, która pracuje nad przyśpieszeniem jego dymisji. Z ciężkim sercem powziął doktor Kolski tę decyzję, ale nie mógł powziąć innej.

I Łucja do późna nie mogła usnąć tej nocy. Wzburzyła ją i rozstroiła rozmowa z Kolskim, do której tak brutalnie i tak niepotrzebnie doprowadził. Żywiła doń wiele żalu za ten brak subtelności. Istotnie obawiała się przy tym, że ich stosunki teraz już nie będą mogły wrócić ani do dawnej swobody, ani do tej koleżeńskości, którą tak sobie ceniła. Swoim niezgrabiaszostwem nic nie zyskał, a popsuł wszystko. Idąc do domu, robiła sobie wyrzuty, że potraktowała go zbyt łagodnie. Należało powiedzieć dobitniej, czym są takie wyznania i jak ocenia jego niewczesną natarczywość.

Zajęta tymi myślami, dopiero w swoim pokoju, ujrawszy różę w wazonie, zastanowiła się:

– Skoro nie pochodzą od niego, któż je przysłał?...

Nie miała wielu znajomych, wśród nich zaś bodaj nikogo, kto byłby upoważniony do czegoś podobnego. Wiedziała, że się podoba kilku kolegom i może młodemu Zarzeckiemu, lecz oni z całą pewnością wiedzieli również, że niczego od niej oczekiwać nie mogą.

Więc kto?...

I nagle krew uderzyła jej do głowy. Szalony, nedorzeczny, zuchwały pomysł! A jednak coś jej mówiło, coś zapewniało, coś utwierdzało w najgłębszym przeświadczeniu, że to on, że to profesor Wilczur przysłał te kwiaty.

Serce uderzyło mocniej i szybciej. Wpatrywała się długo w różowy bukiet, jakby czekając odeń potwierdzenia swego domysłu. I wreszcie jakby to potwierdzenie otrzymała, rozjaśniła się w uśmiechu.

Nie, nie. Intuicja jej zawieść w tym wypadku nie mogła. Jakżeby chętnie z całej siły przytuliła te kwiaty do piersi...

Pochyliła się nad nimi. Nozdrza napełniły się lekkim już i ledwie wyczuwalnym zapachem. Chłodne płatki dotykały łagodnie rozpalonych policzków i wiele z nich gęstym deszczem opadło na stolik.

Więc jednak! Więc jednak pamiętał o niej, więc jednak myślał o niej. Pamiętał właśnie w dniu wigilijnym.

I była tak łatwowierna! Uwierzyła mu, gdy powiedział, że wyjeżdża!... Oczywiście jest w Warszawie. Spędził tu całe święta. Samotnie. Zupełnie samotnie...

Gorączkowo spojrzała na zegarek. Było już po dwunastej. Pomimo to postanowiła zadzwonić. Wiedziała, że profesor nigdy wcześniej spać się nie kładzie, że w każdym bądź razie dowie się czegoś od Józefa.

Z nerwowym pośpiechem nakręcała tarczę aparatu. W słuchawce przez długi czas odzywało się miarowe buczenie, zanim wreszcie rozległ się jakiś ochryply i nieznajomy głos:

– Duszo pokutująca, czego potrzebujesz?

– Czy to... czy to mieszkanie pana profesora Wilczura? – niepewnie zapytała Łucja.

– Istotnie. Zgadłaś, dziewczeczko. To jest właśnie jego doczesne mieszkanie. *Und mein Liebchen, was willst du noch mehr*³⁷?

– A czy mogłabym prosić pana profesora? – po chwili wahania odezwała się Łucja zaskoczona.

– Zależy o co, turkaweczko. Jeżeli o złoty zegarek i o kostkę cukru, sądzę, że tak. Jeżeli o wycięcie robaczka wyrostkowego, nie radziłbym. Jeżeli o partię golfa, nie może być o tym mowy. Jeżeli o rękę, rzecz spóźniona o lat co najmniej trzydzieści. Jeżeli o kieliszek alkoholu, nic z tego nie będzie, bo ja postawię swoje *veto*. Więc chociaż Pismo Święte powiada „proście, a będzie wam dane”, zauważ, białogłowo, że bynajmniej nie jest powiedziane, że dane ci będzie to, o co prosisz. Prosisz na przykład o piernik z migdałami, a dostaniesz żółtej febry z komplikacjami. Prosisz o natchnienie, a przynoszą ci jajecznicę z czterech jaj na słonince. *Boîte à surprises*³⁸. Ciuciubabeczka z przeznaczeniem. *Suprise-party* z Opatrznością. Więc o co ci chodzi, *mia bella*³⁹?

– Chciałabym prosić pana profesora do telefonu – powiedziała przerażona Łucja.

³⁷ *Und mein Liebchen, was willst du noch mehr* (niem.) – I, moja kochana, cóż jeszcze chcesz. [przypis edytorski]

³⁸ *boîte à surprises* (fr.) – szkatułka z niespodzianką. [przypis edytorski]

³⁹ *mia bella* (wł.) – moja piękna. [przypis edytorski]

– Niewykonalne – apodyktycznie orzekł chrypliwy głos.
– Niewykonalne z trzech przyczyn. *Primo*, profesora nie ma w Warszawie. *Secundo*, nie dalej jak przed kilku godzinami, zdołałem go przekonać i przyznał mi słuszność, że na rozmowy z kobietami szkoda czasu. I *tertio*, gdyby nawet był teraz w Warszawie i gdyby chciał stracić na rozmowę z tobą kwadransik, to i tak tego by zrobić nie mógł, gdyż leży tu pod którymś ze stołów, nie zdradzając najmniejszej ochoty do odzyskania przytomności. Ja gonię tu resztkami sił. *Addio, signora*⁴⁰, *good-bye*⁴¹. *Vale et me ama*⁴²!

To rzekłszy, położył słuchawkę.

⁴⁰ *addio, signora* (wł.) – żegnaj, pani. [przypis edytorski]

⁴¹ *good-bye* (ang.) – do widzenia. [przypis edytorski]

⁴² *vale et me ama* (łac.) – bądź zdrów/zdrowa i kochaj mnie. [przypis edytorski]

Rozdział VI

Sekretarz prezesa Tuchwica zameldował mu:

– Pan profesor Wilczur powrócił dziś z urlopu i gotów jest pana przyjąć, choćby natychmiast. Pytał, czy panu prezesowi coś dolega. Odpowiedziałem, że nie wiem.

Tuchwic skinął głową.

– Dobrze. Dziękuję panu. Niech pan każe szoferowi zajeżdżać.

W dziesięć minut później był już w lecznicy. Natychmiast wprowadzono go do gabinetu profesora Wilczura, który wstał na jego powitanie.

– Czy przyjmuję pana jako gościa, czy jako pacjenta, czy jako szefa? – zapytał z uśmiechem.

Prezes serdecznie i długo ścisnął jego rękę.

– Dzięki Bogu, na zdrowie nie narzekam. Chciałbym z panem profesorem pomówić trochę o interesach.

– Służę panu – skinął głową Wilczur, wskazując jednocześnie gościowi fotel.

Tuchwic usadowił się wygodnie i ładując fajkę, powiedział:

– Za krótko pan odpoczywał, drogi profesorze. Wygląda pan, że poczęstuję pana żydowskim komplementem, nieszczególnie.

Istotnie urlop nie przyczynił się do poprawy stanu zdrowia Wilczura i było to po nim znać.

– Moim żywiołem jest praca – powiedział poważnie. – Nic

tak nie nuży jak bezczynność.

– Wiem coś o tym – przyznał Tuchwic. – Wchodzi to w krew i kości. Staje się nałogiem, niebezpiecznym nałogiem. Wiem coś o tym. Jesteśmy, zdaje się, z panem w jednym wieku, a wciąż nie mam ochoty porzucić pracy, chociaż domyślam się, że i u mnie, tak jak u pana, profesorze, młodszy i ambitni chcieliby zepchnąć zwierzchnika, by zająć jego miejsce.

Profesor Wilczur zmarszczył brwi. Właściwie mówiąc, od początku był przygotowany na ten właśnie temat rozmowy.

– Przewidywałem – powiedział – że tutejsze intrygi przeciw mnie dotrą do pana w formie plotek czy zręcznie podsuniętych sugestii.

Prezes potrząsnął głową.

– Nie, profesorze. Dotarli w sposób bardziej bezpośredni. Po prostu otrzymałem memoriał podpisany przez kilku lekarzy z naszej lecznicy, memoriał, o którym właśnie chciałem z panem szczerze i otwarcie pomówić. Niech pan oceni to, profesorze, że przyjechałem tu bez żadnego konkretnego zamiaru. Po prostu pragnę przedstawić tę sprawę panu i panu zostawić głos rozstrzygający. Mam do pańskiej uczciwości i do samokrytycyzmu absolutne zaufanie.

– Jestem za to wdzięczny panu prezesowi – Wilczur skinął głową.

– Nie chcę na pańską decyzję wywierać najmniejszego nacisku. Najmniejszego – ciągnął Tuchwic. – Po prostu nie znam się na tym. Otrzymałem jednostronne naświetlenie

sprawy. Dodam jeszcze, że mam wrażenie, o którym już wspomniałem przed chwilą, że pańscy przeciwnicy mniej się kierują pobudkami obiektywnymi, a bardziej swoją ambicją. Pomimo to uważam, że akcja wszczęta przeciw panu, drogi profesorze, przez podwładny panu personel lekarski nie może pozostać bez wpływu na dobre funkcjonowanie instytucji. Stosunki te wymagają uzdrowienia. Mówiąc krótko: albo uzna pan własne ustąpienie za wskazane, albo będzie pan musiał usunąć tych, którzy okazali panu dezaprobatę. Obecny stan nie może trwać dłużej.

Wilczur odpowiedział ponuro:

– Zgadzam się z panem prezesem w zupełności. Chciałbym teraz usłyszeć zarzuty, jakie mi postawiono.

Prezes sięgnął do teczki.

– Mam tu przy sobie odpis memoriału. Nie wziąłem ze sobą oryginału, gdyż są na nim podpisy. Oczywiście rozumie mnie pan, że obowiązuje mnie pewna dyskrecja.

– Bez wątpienia – przyznał Wilczur.

– Naturalnie w wypadku, jeżeli pan poweźmie decyzję numer dwa, wręcę panu oryginał, by mógł pan udzielić dymisji jego autorom. Na razie służę panu kopią.

Podał Wilczurowi kilka kartek maszynopisu. Profesor zagłębił się w czytaniu. Tak jak przewidywał, w memoriale nie znalazł żadnych nowych ani żadnych istotnych zarzutów. Wszystko tu obracało się dookoła podejrzeń, że amnezja zostawiła w jego psychice trwałe ślady, że znachorstwo

wypaczyło jego metody lekarskie, że szwankuje organizacja lecznicy wskutek zaniedbań, ślamazarnego administrowania i forytowania niektórych osób z personelu. Przytoczono szereg głosów prasy na potwierdzenie tego, że lecznica traci swoją nieskazitelną renomę, swoją od lat utrwaloną opinię najlepszego zakładu leczniczego w stolicy.

Wilczur złożył kartki i z ironicznym uśmiechem zwrócił je Tuchwiciowi.

– Jakież jest o tym pańskie zdanie? – poważnie zapytał Tuchwic.

Profesor Wilczur wziął do ręki ołówki.

– Odpowiem kolejno, na wszystkie zarzuty. A więc jeżeli chodzi o amnezję, żaden ze specjalistów nie wspomina ani słowem, by zdarzyło mu się kiedykolwiek dostrzec u któregośkolwiek ze swych pacjentów jej nawroty. Żaden. Domyśla się pewno pan prezes, że sam musiałem bardzo interesować się tą kwestią i że po odzyskaniu świadomości przestudiowałem wszystko, co kiedykolwiek było na ten temat napisane.

– To zrozumiałe – potwierdził Tuchwic.

– Pierwszy więc zarzut odpada. Drugi, dotyczący mego znachorstwa, jest wręcz śmieszny. Nie przypuszczam, by któryś z autorów tego memoriału rozporządzał większą wiedzą lekarską niż ja. A nie przypuszczam dlatego chociażby, że większość zatrudnionego tu personelu właśnie ode mnie tę wiedzę czerpała. Czerpała i czerpie. Otóż rzeczywiście podczas mojej praktyki

znachorskiej poznałem kilka środków leczniczych nieznanymi w oficjalnej medycynie lub przez nią zarzuconymi. Środki te w praktyce okazały się dobre i skuteczne. Dlaczegoż nie mam ich stosować? Medycyna nie pretenduje do nieomyślności. Ci panowie, którzy podpisali memoriał, widocznie uważają się za nieomyślnych. Pozostają jeszcze dwa zarzuty. Pierwszy dotyczy złej organizacji lecznicy, wskutek czego traci ona swoją dobrą opinię. Panie prezesie! Tę lecznicę założyłem ja, ja ją zorganizowałem przed wielu laty i sądzę, że właśnie mam prawo twierdzić, iż jej dotychczasowa dobra opinia jest moim dziełem.

– Niewątpliwie – powiedział prezes.

– To prawda – ciągnął Wilczur – że w ostatnich czasach opinia ta zaczęła się psuć. Rozważmy obiektywnie, dlaczego. Otóż nie z żadnych innych powodów jak tylko dlatego, że ludzie, którzy postanowili mnie usunąć, starają się ją zepsuć. To jest zwykła agitacja. Nie będę wymieniał nazwisk. Nie będę wymieniał faktów. Upewniam jednak pana, że wiem kto i w jaki sposób działa na szkodę lecznicy. Nie wyciągnąłem dotychczas z tego żadnych konsekwencji. Miałem dużo wiary w ludzi. Sądziłem, że się opamiętają, że się zreflektują, że odezwie się w nich sumienie. Wreszcie i w to, że społeczeństwo dostrzeże owe grube nici, którymi jest szyta cała ta nieszlachetna robota. Zawiodłem się. Wreszcie zarzut ostatni. Powiadają, że jestem stary i przemęczony, że rozluźnienie porządku w lecznicy jest skutkiem wyczerpania się mojej energii i zdolności kierowniczych. Panie prezesie, przyznaję, że moja energia

została w ostatnich czasach bardzo nadwątlona, że moje nerwy znajdują się w stanie pozostawiającym wiele do życzenia, że moje zdrowie zostało zachwiane. To wszystko prawda. Ale właśnie ten mój stan ma przyczynę, ma wyłączną przyczynę w tej brutalnej akcji oszczerstw i podkopów, którą prowadzą moi wrogowie. Rozumiem, że pana, jako przedstawiciela towarzystwa, do którego należy lecznica, mało może obchodzić, dlaczego umniejszyły się wartości kierownika instytucji. Dla pana jest ważny rezultat, fakt obiektywny: umniejszyły się. Otóż dlatego właśnie nie mogę teraz korzystać z pańskiej uprzejmości i powziąć decyzji, którą pan mi chciał zostawić. I proszę pana o nieobarczanie mnie rozstrzygnięciem tej kwestii.

– A jednak pozwoli pan profesor, że będę obstawał przy swoim. Powtarzam, że mam absolutne zaufanie do pańskiego obiektywizmu i wiem, że decyzja pańska będzie jedynie słuszna.

Wilczur się zamyślił. Po dłuższej chwili odpowiedział:

– Więc dobrze, panie prezesie. Proszę mi jednak zostawić kilka dni czasu. Zastanowię się nad tym, a ponieważ zarzuty przeciwko mnie zostały sformułowane na piśmie, i ja pisemnie chcę na nie odpowiedzieć. Proszę mi wierzyć, że w tej chwili jeszcze nie mam żadnego postanowienia. Muszę całą tę rzecz przemyśleć, muszę gruntownie zbadać sytuację, muszę sprawdzić, czy po usunięciu malkontentów dysponowałbym dostatecznym aparatem dla prowadzenia lecznicy. Nie wspomniał mi pan prezes, ilu z moich podwładnych podpisało ten memoriał, lecz znając ich wszystkich względnie

dobrze, mogę pana zapewnić, że znajduje się wśród nich na pewno większość takich, którzy z równą namietnością staną w mojej obronie, jak tamci stanęli przeciw mnie.

Prezes wstał.

– I ja jestem o tym przekonany. Zostawiam panu ten odpis memoriału i będę oczekiwał pańskiej odpowiedzi. Jeszcze raz najgoręcej zapewniam pana, drogi profesorze, o moim szacunku i największej przyjaźni.

Po wyjściu Tuchwica Wilczur długo się namyślał. Czerwona lampka nad drzwiami jego gabinetu nie gasła i co chwila różne osoby, które chciały się z nim widzieć, na próżno zaglądały do poczekalni.

Na dwóch kartkach papieru Wilczur wypisywał nazwiska tych lekarzy, którzy opowiedzą się po tej czy tamtej stronie. Na początku pierwszej figurował profesor Dobraniecki, na początku drugiej doktor Kolski. Hipotetyczny ten spis wykazał, że Wilczur mógł liczyć na lojalność większości personelu. Postanowił natychmiast zabrać się do rzeczy i po kolei z każdym odbyć konferencję. Pierwszego wezwał doktora Kolskiego.

Przywitał go bez słowa, wskazał miejsce i podając mu memoriał powiedział:

– Kilku kolegów złożyło taką właśnie motywację żądania, bym ustąpił z kierownictwa lecznicy. Może pan będzie łaskaw to przeczytać.

Kolski zarumienił się z lekka i pogrążył się w czytaniu. Gdy skończył, podniósł oczy na profesora.

– Teraz mam do pana prośbę – odezwał się Wilczur. – Chodzi o pańską szczerłość, o bezwzględną szczerłość. Niech pan wypowie swoje zdanie o tym elaboracie.

– Czy... czy – zająknął się Kolski – czy to jest konieczne, panie profesorze?

Wilczur skinął głową:

– Dla mnie tak i jeszcze raz proszę pana o bezwzględną szczerłość.

Kolski był widocznie zdetonowany i zaczął niepewnie:

– No... ma się rozumieć... już sam fakt złożenia takiego memoriału, moim zdaniem, jest swego rodzaju nieprzyzwoitością... Przypuszczam, że nawet Związek Lekarzy mógłby wyciągnąć z tego jakieś konsekwencje... Czy ja wiem, dyscyplinarne. To nie po koleżeńsku. W każdym bądź razie uważam, że powinni byli uprzedzić o swoim kroku pana profesora. Jeżeli tego nie zrobili, nic ich nie tłumaczy. Wyciągnąć wewnętrzne sprawy lecznicy... to doprawdy nieprzyzwoitość.

Przełknął ślinę i umilkł.

– A co pan sądzi o treści memoriału? – zapytał Wilczur.

– Z treścią również nie można się pogodzić – odzyskując stopniowo panowanie nad sobą, powiedział Kolski. – Zarzuty tu wysuwane przeciw panu profesorowi są niewątpliwie przejaskrawione...

– Przejaskrawione – półgłosem powtórzył Wilczur.

– Tak, panie profesorze. Przejaskrawione. Niektóre wręcz nie

mają podstaw. Można by nawet w nich dopatrywać się złej woli autorów. Na przykład te nawroty amnezji albo skłonność pana profesora do używania środków leczniczych na ogół obecnie niestosowanych. To są całkiem niepoważne pretensje.

Wilczur, który spodziewał się u swego asystenta wybuchu oburzenia, ze zdumieniem słuchał jego spokojnego, rzeczowego, a nawet jakby chłodnego rezonowania.

– Nadto – ciągnął Kolski – memoriał jest zredagowany z wyraźną nieżyczliwością dla pana profesora. Gdybym ja był adresatem, już to wzbudziłoby we mnie nieufność i podważyło wiarę w dobre intencje autorów, nasunęłoby mi myśl, że dla osobistych korzyści, nie zaś dla dobra lecznicy wyzyskują istotne strony sytuacji.

Profesor Wilczur z lekka podniósł brwi i nie patrząc na Kolskiego, zapytał:

– A jakie są te istotne strony sytuacji?

Kolski zawahał się przez chwilę.

– Ponieważ pan profesor taki nacisk położył na to, bym szczerze wypowiedział swoje zdanie...

– Tylko o to mi chodzi – podkreślił Wilczur.

– Tedy będę szczery. Wie pan, profesorze, ile żywię dla pana czci, pietyzmu, wdzięczności. Jednak obiektywnie rzecz biorąc, nie można tym panom odmówić racji, gdy twierdzą, że stanowczo pan profesor jest przemęczony i że konsekwencje tego przemęczenia w bardzo niekorzystny sposób odbijają się na lecznicy. Pan profesor ostatnio rzadko i sporadycznie wgląda w

to, co tu się dzieje. A tu źle się dzieje. Wśród personelu panuje podniecenie, nie ustają intrygi, plotki, wygryzania się wzajemne. Słowem, rozprzężenie. Do kierowania tak dużą instytucją, sam pan to przyzna, trzeba mocnej i pewnej ręki, silnych nerwów, no i niemal ustawicznej obecności na stanowisku. Ja wiem, że tym, co mówię, sprawiam panu profesorowi przykrość, ale skoro zostałem zapytany, wołę sprawę postawić otwarcie.

Skończył i zapanowało długie milczenie. Wreszcie profesor Wilczur wstał. Chciał uśmiechnąć się, podając Kolskiemu rękę. Nie mógł jednak wymusić na sobie tego uśmiechu.

– Dziękuję panu, kolego – powiedział.

Kolski bez słowa wyszedł z gabinetu. Gdy się za nim drzwi zamknęły, Wilczur bezwładnie opadł na fotel.

Oto znienacka, ze strony najmniej spodziewanej ugodził go cios tym boleśniejszy, że zadany ręką, od której spodziewał się największej pomocy.

Czyżby więc naprawdę tak dalece zatracił samokrytycyzm?... Czyżby nie umiał w sobie dostrzec tego upadku, który tak jasno widzą w nim już nie tylko wrogowie, lecz i przyjaciele? Czyżby naprawdę stał się już człowiekiem nieudolnym, szkodliwym ramolem, zawadą dla innych?... On, który tak wiele w sobie czuje wciąż siły, wiary, głodu pracy?...

Spojrzał ponuro na biurko, gdzie leżały dwa arkusiki papieru, dwie listy. Powoli wziął je w rękę, zmiął i wyrzucił do kosza. Po cóż miał się zwracać do innych? Wszyscy oni, jeżeli się zdobędą tylko na taką szczerłość jak Kolski, niewątpliwie powtórzą mu to

samo. Po to wzywać ich, by doznać jeszcze kilku upokorzeń, by wysłuchiwać tych strasznych, miażdżących słów – wierzył w to – niesprawiedliwych, lecz wypowiedzianych z przekonaniem o ich słuszności...

Walka była przegrana. Zrozumiał to i potrafił postąpić tak, jak nakazuje mu sumienie.

Spokojnie też wyjął arkusz papieru i skreślił na nim:

„Szanowny Panie Prezesie! Po namyśle i zbadaniu sytuacji w lecznicy doszedłem do przekonania, że jedynym słusznym rozwiązaniem kwestii będzie moje ustąpienie. Ponieważ po tej decyzji zbyt trudno byłoby mi pozostać tu dłużej bodaj przez kilka dni, pozwalam sobie zdać kierownictwo profesorowi Jerzemu Dobranieckiemu, dotychczasowemu memu zastępcy, który doskonale jest obeznany ze sprawami instytucji. Łączę wyrazy szacunku i poważania – Rafał Wilczur”.

Złożył arkusz na czworo, umieścił w kopercie, zaadresował ją do prezesa Tuchwica i nacisnął guzik dzwonka.

– Proszę to zaraz wyekspediować – powiedział woźnemu – i proszę zameldować panu profesorowi Dobranieckiemu, że chcę z nim mówić.

Niedługo czekał na Dobranieckiego. Zdążył jednak opanować się o tyle, że przywitał go zupełnie swobodnie:

– Proszę, niech pan siada. Chciałem z panem pomówić, jeżeli pan dysponuje czasem.

Dobraniecki spojrział na zegarek.

– Mam całe dwadzieścia minut do operacji.

– O, tyle panu nie zabiorę.

– O cóż chodzi? – zapytał Dobraniecki.

– Niedawno był tu u mnie prezes Tuchwic. Prezes Tuchwic powiedział mi, że niektórzy z lekarzy naszej lecznicy podpisali się na memoriale, żądającym mego ustąpienia. Nie podał mi żadnych nazwisk. Czytałem ten memoriał i mam powody przypuszczać, że to pan jest jego autorem. Autorem oraz inicjatorem.

Dobraniecki z lekka przygryzł wargi, lecz podniósł głowę i spojrzał w oczy Wilczurowi.

– Tak. Nie mam zamiaru tego się zapierać.

– I nie ma pan powodu – podchwycił Wilczur.

– I nie mam powodu – potwierdził Dobraniecki. – Nie należę do ludzi, którzy czegokolwiek się boją i którzy oportunistycznie wolą pogodzić się z tym, co uważają za złe, zamiast wszelkimi środkami temu przeciwdziałać.

Wilczur uśmiechnął się.

– Bardzo pan to trafnie określił: wszelkimi środkami. Nie zanedbał pan żadnego. Ale nie o tym chciałem z panem mówić. Otóż Tuchwic postawił przede mną alternatywę, zostawiając mi *plein pouvoir*⁴³ co do wyboru: albo zatrzymać kierownictwo lecznicy i usunąć z niej tych, którzy działają przez okłamywanie opinii publicznej na jej niekorzyść, albo samemu ustąpić.

Umilkł, oczekując pytania Dobranieckiego. Ten jednak tylko przybladł z lekka, lecz nie odezwał się ani słowem. Wilczur

⁴³ *plein pouvoir* (fr.) – pełna moc; zupełna swoboda (działania). [przypis edytorski]

zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Tuchwic decyzję zostawił mnie. Już ją powziąłem. Przed chwilą wysłałem doń list z moją rezygnacją.

Na policzkach Dobranieckiego wystąpiły czerwone plamy.

– Komunikuję zaś to panu dlatego, że w tymże liście oświadczyłem, iż kierownictwo zakładu przekazuję w pańskie ręce. Otóż chciałem spytać pana, czy zrobi mi pan tę małą przysługę, by je przyjąć?

Dobraniecki poruszył wargami, lecz nic nie powiedział.

– Ułatwiłoby mi to ogromnie sytuację – mówił Wilczur spokojnym tonem. – Przekazując zarząd komuś innemu, musiałbym wiele czasu stracić na objaśnienia i podobne rzeczy, podczas gdy pan, zastępując mnie niejednokrotnie, świetnie jest obeznany z wszystkim. Przecież dopiero dzisiaj powróciłem z urlopu i mniej wiem o bieżących sprawach niż pan. Więc zgadza się pan?

– Zgadza się – krótko odpowiedział Dobraniecki.

Wilczur wstał.

– Zatem sprawa załatwiona i żegnam pana.

Dobraniecki wstał również i powiedział:

– Żegnam pana profesora.

Wyciągnął do Wilczura rękę, lecz ten potrząsnął głową.

– Nie, proszę pana. Ręki panu podać nie mogę.

Dobraniecki przez moment stał jak skamieniały, potem nagle odwrócił się i szybko wyszedł z pokoju.

Profesor Wilczur dość wiele jeszcze miał tu roboty. Po

szafach, w gabinecie, w biurku, w różnych szufladach miał sporo książek stanowiących jego prywatną własność, notatek, szkiców wykładów itp. Należało to wszystko posegregować, ułożyć i kazać zapakować. Gdy ukończył tę robotę, na dworze zapadł już zmrok.

Ubrał się i przechodząc przez poczekalnię, zobaczył Łucję. Czekwała tu na niego.

– Dobry wieczór, panno Łucjo – ucieszył się. – Myślałem, że pani dziś nie ma w lecznicy. Dlaczego pani nie zajrzała do mnie?

– Ależ byłam tu, panie profesorze, mały kilkadziesiąt razy i wciąż nad pańskimi drzwiami paliła się czerwona lampka.

– A tak, tak. Byłem bardzo zajęty.

– Pan dziś skończył swój urlop?

– Dzisiaj – potwierdził Wilczur.

– Jaki pan niedobry, profesorze! Podczas świąt był pan przecież w Warszawie, a ja o tym nic nie wiedziałam.

Zaśmiał się do niej.

– A skądże się pani dowiedziała?

– Miałam aż dwa dowody pańskiej obecności.

Wilczur zaciekawił się.

– Aż dwa?

– Tak. Telefonowałam do pana profesora.

– Nic mi Józef o tym nie mówił.

– Bo to wcale nie Józef odebrał telefon, tylko jakiś dziwny człowiek. Zdawało mi się, że... że... Przepraszam bardzo, ale zdawało mi się, że umysłowo chory.

– Umysłowo chory?

– No tak. Gadał takie głupstwa i był zdaje się zupełnie pijany. Profesor zaśmiał się i machnął ręką.

– Ach, oczywiście. To Jemioł. Zna go pani. Były nasz pacjent.

Przemiły człowiek.

– Przemiły? – zdziwiła się Łucja. – Zdaje się, że to był taki rzezimieszek na bezpłatnym oddziale.

– Ten właśnie – potwierdził Wilczur. – To jest jakiś zdeklasowany inteligent. Niepodobna zeń wydobyć, kim był kiedyś. Dziś rzeczywiście jest rzezimieszkiem. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Poznałem go kiedyś przed laty i wówczas nazywał się, o ile mnie pamięć nie myli, Obiadowski czy Obiedziński, dziś nosi nazwisko Jemioł, za rok prawdopodobnie zmieni je na jakieś wygodniejsze. Tak, to dziwny człowiek. Oczywiście, że jest rzezimieszkiem...

– I pijakiem – dodała Łucja. – Wstydziłabym się panu profesorowi powtórzyć to, co on mi nagadał... Czy rzeczywiście pan profesor z nim pił?

– Piłem trochę... trochę za wiele – uśmiechnął się Wilczur. – Ale co to, pani w futrze? Pani wychodzi?

– Tak. Czekałam tylko na pana profesora, bo mi woźny powiedział, że pan niedługo wyjdzie.

– To doskonale. Chodźmy więc.

Na dworze panował lekki przymrozek. Płuca oddychały z przyjemnością orzeźwiającym powietrzem. Przeszli na drugą stronę ulicy. Profesor Wilczur stanął tu i zaczął się przyglądać

gmachowi lecznicy. Prawie wszystkie okna jaśniały łagodnym, białym światłem. Wysoka, wyniosła fasada gmachu miała w sobie coś dostojnego, spokojnego i niezmiennego.

Profesor stał nieruchomo. Mijały minuty. Zdziwiona jego niezwykłym zachowaniem się, Łucja spojrzała na jego twarz i zobaczyła dwie łzy spływające po policzkach.

– Profesorze! – zawołała szeptem. – Co panu jest?

Odwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

– Wzruszyłem się trochę. Wiele tu zostawiłem serca... wiele...

– Zostawił pan?

– Tak, panno Łucjo. Zostawiłem. Nigdy już tu nie wrócę. To pożegnanie.

– Co pan mówi, profesorze!

– Tak, panno Łucjo. Dzisiaj byłem tu ostatni raz. Podałem się do dymisji, przekazałem zarząd panu profesorowi Dobranieckiemu... Stary już jestem, panno Łucjo.

Łucja nic nie mogła odpowiedzieć, zacisnęło się jej gardło, trzęsła się cała jak w febrze. Wilczur zauważył to i łagodnym ruchem wziął ją pod rękę.

– Chodźmy już. Ostatecznie nic tak ważnego się nie stało. Zwyczajny porządek rzeczy, że starzy ustępują miejsca młodszym. Było tak od początku świata. Niech się pani tak tym nie przejmuje, panno Łucjo...

– To straszne... to straszne... – powtarzała drżącymi wargami.

– Nic strasznego. Wszyscy tak mnie zapewniali o tym, że powinienem odpocząć, no i uwierzyłem im wreszcie. Dajmy spokój i nie mówmy już o tym. Jakże pani spędziła święta?

Potrząsnęła głową.

– Och, profesorze, doprawdy nie mogę zebrać myśli. Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba.

Zaśmiał się krótko.

– No, niezupełnie jasnego. Już od dawna ta chmura wisiała nad moją głową i rozlegały się w niej nie tyle grzmoty, ile jakieś syki i gwizdania. Bardzo dziwna chmura. Pociesza mnie tylko to, że jedyny piorun, jaki z niej padł, padł z mojej woli... No więc, niech mi pani powie, jak pani spędziła święta.

– Po cóż pan profesor pyta? – odezwała się po chwili. – Przecież wie pan, że dla mnie nie mogły to być wesołe święta.

– Dlaczegoż nie? Jest pani młoda, zdolna, życie przed panią stoi otworem. Zaczyna je pani dopiero. Jakież zmartwienia pani miała?

Za całą odpowiedź przycisnęła łokciem jego rękę do siebie. Umilkł i szli tak czas dłuższy w milczeniu.

– Jedną tylko chwilę podczas całych świąt miałam szczęśliwą, bardzo szczęśliwą. To wtedy, kiedy odgadłam, że te róże pan mi przysłał.

Profesor chrząknął zaskoczony.

– Ja wiem, że to pan – mówiła. – Chociaż był pan tak niedobry, że nie napisał nawet ani jednego słowa i że nie dał mi znać o tym, że jest w Warszawie. Ale to i tak niezasłużona przeze

mnie dobroć z pańskiej strony, że pan o mnie pamiętał, że pan o mnie pomyślał.

– Pomyślałem, stary egoista, pomyślałem o pani w dniu wigilijnym i przyznam się pani, że przyszedł mi nawet do głowy niedorzeczny koncept, by panią zaprosić na wieczerzę wigilijną.

Łucja przystanąła i spojrzała mu w oczy. W jej spojrzeniu wyczytała tyle ciepła i radości, że aż ścisnęło mu się serce. By pokryć wzruszenie, zaczął mówić:

– Siedziałem w tej samotności swojej jak borsuk w jamie, więc coś dziwnego, że najkarkołomniejsze pomysły przychodziły człowiekowi do głowy. I jeszcze akurat w dzień wigilijny. No, ale chodźmy, nie stójmy tu, bo tarasujemy ruch na ulicy. Dzień wigilijny, choinka, siano pod obrusem. Wspomnienia. Wszystko to wytrąca trochę człowieka z równowagi.

– I dlaczego, dlaczego pan mnie nie wezwał? – powiedziała ze szczerym wyrzutem w głosie.

– Zreflektowałem się w porę. Wprawdzie ja chciałbym mieć pani towarzystwo tego wieczora, ale pani na pewno znalazłaby miłsze i weselsze, i bardziej odpowiadające pani wiekowi...

– Nie, nie, nie mówi pan tego szczerze – przerwała mu. – Przecież pan wie, że najbardziej pragnęłabym spędzić z panem nie tylko ten wieczór, ale wszystkie wieczory, wszystkie wieczory do końca mego życia.

Głos mu drgnął, gdy ją ofuknął:

– Niech pani nie opowiada głupstw!

– Do końca życia – powtórzyła.

Zaśmiał się z przymusem.

– No, jeżeli o mnie chodzi, to niewiele by pani nawet ryzykowała, bo pewno niewiele już tych wieczorów do końca mego życia mi zostało. Ale niech pani o podobnych rzeczach nie mówi. Przecież to śmieszne, mógłby nas jeszcze ktoś podsłuchać i ubawić się szczerze. Mam córkę prawie w pani wieku i mógłbym być pani ojcem. Ba, i jak jeszcze.

– To przecież nie ma żadnego znaczenia – zaprotestowała żywo.

– Ma, i to duże.

– Dla mnie ma znaczenie tylko to jedno, że pana kocham, że pana uwielbiam, że wprost nie wyobrażam sobie, jak mogłabym żyć z dala od pana...

Teraz Wilczur zatrzymał się.

– Panno Łucjo – powiedział poważnie, patrząc w jej rozjarzone oczy. – Pani jest jeszcze bardzo niedoświadczona. Niechże pani mi uwierzy, że uczucie pani w całym swoim pięknie i świeżości jest wynikiem li tylko nieporozumienia. Lubi mnie pani, wydaję się pani godny podziwu, przyjaźni, wreszcie współczucia z powodu tych przeżyć, które mnie ostatnio spotkały. Ale to nie jest miłość. Za miesiąc czy za rok przeminie to, bo musi przeminąć, i wtedy przekona się pani, że w tej chwili, że dzisiaj nierozważnie zbliża się pani do przepaści. Na szczęście nad brzegiem tej przepaści jest bariera, która panią zatrzyma, bariera ta to moje doświadczenie i moja znajomość

życia. Drogie dziecko, kiedyś będzie mi pani za to wdzięczna. Kiedyś przypomni pani moje słowa.

Łucja uśmiechnęła się smutno.

– Panie profesorze. Nie spodziewałam się wcale innej odpowiedzi. Wiem, że nie jestem pana warta. Pod żadnym względem. I wiedziałam, że tak mi pan odpowie. Tak, bo jakże inaczej można odpowiedzieć kobiecie, na której miłość nie znajduje się w sobie oddźwięku.

– Myli się pani, panno Łucjo. – Wilczur ściągnął brwi. – To, co pani mi powiedziała, to, co pani czuje, jest dla mnie wielkim, wielkim i cennym darem. Człowiek, który tak mało w życiu doznał cieplejszych uczuć, umie je cenić wysoko. Nie znaczy to jednak, panno Łucjo, że potrafi również odpowiedzieć na nie takimiż uczuciami. Życie robi swoje, lata robią swoje. Wysycha serce, dusza traci swoje soki ożywcze, staje się cierpka i łukowata, wysycha na pergamin. Trzeba to rozumieć, panno Łucjo.

– Nie wierzę – potrząsnęła głową. – Od trzech lat obcuję z panem, przyglądam się panu, widzę co dzień objawy wrażliwego pańskiego serca, wielkości i żywotności pańskiej duszy. Pańskie serce jest świeże jak serce dziecka. Przecież pan kocha ludzi?

Profesor w zamyśleniu ruszył naprzód.

– Tak, droga pani, ale to już jest coś innego. To nie jest osobiste, to nie przejmuję do dna, to nie targa wszystkimi nerwami, nie stanowi treści dni i nocy. Jakby tu pani powiedzieć? Między sercem kochającym człowieka młodego a moim jest taka

różnica jak między płonącym ogniskiem a cichym kościołem...
Widzi pani, to są te dwie miłości, dwie miłości różne...

Znowu szli w milczeniu. Mijali ich nieliczni przechodnie.

– I nie kochał pan nigdy? – zapytała Łucja.

Wilczur podniósł głowę, jakby wpatrując się w jakiś punkt między gwiazdami, i powiedział wreszcie:

– Kochałem kiedyś... Na imię jej było Beata.

Zdawał się zapominać o obecności Łucji i mówił jak do siebie:

– Była młoda i piękna i nigdy mnie nie kochała. Była moją żoną. Dawno już temu, przed wielu laty... Była moją żoną... Nie żoną, skarbem, królową, dzieckiem. Już sam dziś nie wiem – była treścią i celem mego życia. Każda myśl moja była myślą o niej, każdy mój uczynek – czynkiem dla niej. Kochałem. O, ja wiem, co to znaczy kochać. Pamiętam siebie z owych lat, pamiętam też, że nie umiałem, nie potrafiłem zdobyć jej serca. Byłem widocznie zbyt gruboskórny, obsypywałem ją pieszczotliwymi słowami, drżałem na myśl, że jakaś najdrobniejsza jej zachcianka nie będzie spełniona... Ale ona nie miała drobnych zachcianek. Pragnęła tylko jednego: chciała pokochać. A ja nie umiałem stać się tym, kogo by pokochać mogła. Zawsze, codziennie widziałem w jej oczach tę jakby obawę przede mną, tę bezgraniczną odległość, jaka dzieliła jej myśli, jej świat od mego. Była najprzykładniejszą żoną, zdarzały się nawet takie chwile, kiedy zaczynałem wierzyć w to, że się zbliżymy do siebie. Złudzenia jednak rozwiewały się szybko. I znowu stawałem bezradny wobec tej milczącej, niezrozumiałej dla mnie istoty, zapewne tak

niezrozumiałej dla mnie, jak ja byłem dla niej. Zachowywała się w stosunku do mnie tak jak małe dziecko, które znalazło się w klatce słonia. Wprawdzie ma doń zaufanie, lecz boi się każdego swego ruchu, każdego swego słowa, bo nie wie, jak na nie zareaguje to wielkie, ciężkie zwierzę.

Umilkł, a po dłuższej chwili Łucja zapytała:

– Nie żyje?

Profesor skinął głową i nagle się ożywił.

– Chodźmy. Niech pani wstąpi do mnie, pokażę pani jej fotografię.

I tak jakby nie spodziewał się najmniejszego protestu ze strony Łucji, zawrócił od razu w stronę domu. Łucja szła obok niego, cała rozdygotana wewnątrz. Wyznania własne, a teraz wyznania profesora wznieciły w niej zamęt myśli i uczuć. Ach, czemuż nie żyła wcześniej, czemuż nie poznała go przed tamtą, przed tamtą głupią i niegodną, która nie umiała ocenić swego szczęścia.

Łucja wiedziała o tym, że Wilczur kiedyś był żonaty i że od wielu lat jest już wdowcem. Poznała nawet przelotnie przed trzema laty jego córkę, panią Czyńską, do której uczuła prawdziwą sympatię. Po mieście krążyło tak wiele sprzecznych historyjek o romantycznej przeszłości rodziny Wilczurów, że trudno było prawdę odróżnić od rzeczy zmyślonych. Łucja zresztą nie miała tej ciekawości, która skłania inne kobiety do grzebania się w cudzych sprawach. Wolała nawet, jeżeli chodziło o Wilczura, by nadal dla niej pozostał ową tajemniczą postacią,

na wpół legendarną, na wpół rzeczywistą. Pragnęła go poznać dzień po dniu, tak jak poznaje się karta po karcie historię tragicznych przeżyć uwielbianego bohatera, dzieje jego życia, labirynty jego duszy.

Łucja była już kilkakrotnie w willi profesora z okazji różnych spraw zawodowych. Przyjmował ją jednak zawsze w salonie. Tym razem po raz pierwszy wprowadził ją do gabinetu. Zapalił światło i nic nie mówiąc, wskazał wielki portret nad kominkiem.

Z szerokich, srebrnych ram spoglądała na Łucję wielkimi, jakby lekko zdziwionymi oczyma piękna kobieta, o jasnych włosach i dziewczęcym owalu twarzy. Wokół niedużych ust układał się jakby smutek, piękna, wysmukła ręka o długich, rasowych palcach leżała bezwładnie wśród fałd ciemnego jedwabiu sukni.

Zazdrość ścisnęła serce Łucji. Ta pani z portretu wydała się jej stokroć od niej piękniejsza, nieosiągalnie wytworna i subtelna.

– Na imię jej było Beata... – usłyszała za sobą cichy głos Wilczura. – Pewnego dnia wróciłem i zastałem dom... pusty. Odeszła, porzuciła mnie, porzuciła dla innego, dla miłości.

Łucja poczuła, że serce jej podchodzi aż pod krtań. Nagłym odruchem odwróciła się, chwyciła rękę Wilczura i gorączkowo, nieprzytomnie, wśród łkania zaczęła ją całować, jakby tymi pocałunkami chciała mu nagrodzić ową krzywdę, ową zbrodniczą krzywdę wyrządzoną przez tamtą...

– Co pani!... Co pani robi! Panno Łucjo! – zawołał z oburzeniem Wilczur, nagle ocknąwszy się z zamyślenia. –

Niechże pani da spokój, to do niczego niepodobne.

Usadowił ją trzęsącą się od płaczu w fotelu, rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu karafki z wodą. Na stoliku przy kominku stał koniak. Nalał kieliszek i podał Łucji, mówiąc stanowczym i łagodnym tonem, tym tonem, którym zwykle skłaniał pacjentów swoich do posłuszeństwa:

– Niech to pani zaraz wypije.

Posłusznie spełniła jego rozkaz i z wolna się uspokajała, podczas gdy on mówił:

– Trzeba panować nad swoimi nerwami, droga pani. Trzymać się w ryzach. Cóż to z pani za lekarz, jeżeli panią cudze cierpienia tak wyprowadzają z równowagi, że w starym, poczciwym profesorze widzi pani nagle kardynała, którego trzeba obcałowywać po rękach? A może pani chciała przez to uczcić mój sędziwy wiek?... Odebrać mi resztę złudzeń? No i jak pani teraz wygląda? Proszę zaraz powycierać sobie te nieprzystojne łzy.

Podał jej swoją wielką chustkę, a Łucja, wycierając oczy, powtarzała:

– Nienawidzę jej... Nienawidzę..

Uspokajała się z wolna.

– No, może jeszcze jeden kieliszek? – zapytał Wilczur.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dziękuję i bardzo pana przepraszam za ten wybuch hysterii.

Zachowuję się rzeczywiście okropnie.

– Przez kurtuazję nie śmiem przeczyć – umyślnie gderliwym

tonem powiedział Wilczur. – Nie śmiem przeczyć. Zachowuje się pani jak pensjonarka z blednicą na podłożu skrofulicznym.

Chciał ją rozśmieszyć, lecz słowa jego nie dotarły do świadomości Łucji.

– Czy pan... czy pan ją wciąż kocha? – zapytała i przygryzła wargi, by się znów nie rozplakać.

Brwi Wilczura ściągnęły się.

– Droga pani, tyle już lat minęło, tyle wody upłynęło, tyle razy wiosną grób jej porastał nową trawą... Czas robi swoje... Zostało mi po niej wspomnienie, bolesne i dojmujące wspomnienie. Ot, blizna. Przebaczyłem. To wszystko.

Zamyślił się, a po chwili dodał:

– Widzi pani, i stąd może pani czerpać naukę, co robi czas. Wszystko mija. To, co kiedyś mogło się nam wydawać wszechświatem, w lat kilka później widzimy jako mały pyłek i pojąć nie umiemy, dlaczego wówczas ulegaliśmy złudzeniu.

– O, nie – zaprzeczyła Łucja – przecież pan i dziś wie, że ta kobieta była dla pana wszechświatem. Prawdziwa miłość, choćby nawet wygasła, pozostaje czymś wielkim.

Wilczur machnął ręką.

– To u takich samotników jak ja. Kto wie, jak bym myślał dziś o Beacie, gdyby wkrótce po jej odejściu stanęła na mojej drodze jakaś inna kobieta... jakieś serce czułe, jakieś uczucie głębokie...

Uśmiechnął się i dodał:

– Ale na mojej drodze nie spotkałem serc czułych. Moją drogą

nie chodzą kobiety.

Łucja uśmiechnęła się.

– Chodzą, ale pan ich nie dostrzega. Gdy zaś są tak natarczywe, że narzucają się same, zbywa je pan kazaniami o różnicy wieku.

– To nie kazanie – powiedział łagodnie. – To perswazja. I nie tylko o wiek chodzi, nie tylko o wiek, panno Łucjo. Trzeba tu jeszcze wziąć pod uwagę, że właściwie jestem człowiekiem skończonym...

– Co też pan mówi – zaprotestowała.

– No, tak. Starym gratem wyrzuconym za burtę – przekonywał ją poważnie. – Niech się pani zastanowi, jakie mogę mieć przed sobą perspektywy. Mógłbym rozpocząć praktykę prywatną u siebie w domu, lecz oznaczałoby to nieustanny kontakt z tymi wszystkimi ludźmi, których sam widok jest dla mnie nie do zniesienia. Jestem chirurgiem. W domu przecież operacji nie mogę wykonywać, a co stąd wynika, byłbym zmuszony zabiegać o udzielenie mi sal operacyjnych. Sama pani rozumie, że po mojej dzisiejszej rezygnacji narażanie się na jakieś pytania, uwagi, komentarze czy choćby na spojrzenia byłoby ponad moje siły. Więc cóż mi pozostaje? Dogorywanie. *Panis bene merentium*⁴⁴. I to bez masła. Bo trzeba pani wiedzieć, że jestem zupełnie zrujnowany. Ten dom, w którym teraz jesteśmy, też już nie jest moją własnością.

⁴⁴ *panis bene merentium* (łac.) – chleb dobrze zasłużonych; przen. emerytura. [przypis edytorski]

Łaskawie zostawiono mnie tu na dożywociu...

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Na dożywociu w nadziei, że to niedługo już potrwa.

– Absolutnie nie zgadzam się z panem – energicznie zaprotestowała Łucja. – Pozostaje przecież panu, dopóki pan nie wyzbędzie się tej zrozumiałej zresztą drażliwości na punkcie stykania się z nimi, tak olbrzymia dziedzina pracy jak działalność naukowa. Wykłady uniwersyteckie, klinika, piśmiennictwo...

Wilczur zamyślił się.

– Nie, to nie leży w moim temperamencie. Mogę pisać tylko wtedy, gdy pisanie wypełnia mi wolne chwile od pracy aktywnej; co zaś do wykładów... Droga pani, i stamtąd mnie wygryzą. Nie, nic mi nie zostało. Ot, zamknąć się w domu i czekać na śmierć. Przyjdzie zresztą ona szybko. Tak już w przyrodzie to jest urządzone, że to, co niepotrzebne, samo się likwiduje. A ja czuję, że jestem niepotrzebny.

– Otóż właśnie o to mi chodzi, panie profesorze. O to mi chodzi, że pan się czuje niepotrzebny. Chcę pana przekonać, że to jest tylko chwilowy nastrój, który wkrótce minie. Chcę pana przekonać, że w niczym nie osłabła pańska żywotność, że nie umniejszył się wcale pański geniusz ani energia. To chwilowa depresja.

– Nie wierzę w to.

– Więc przekonam pana.

– W jaki sposób?

– Ma pan zaczęłą tę swoją wielką pracę o nowotworach...

– Nie tyle zaczęta, co zarzucona. Od roku już do niej nie zaglądałem. Brak mi wielu materiałów. Trzeba byłoby je zbierać, wyszukiwać, segregować, a przyznam się pani, że nie odczuwam do tego najmniejszej ochoty.

– Więc będę panu pomagała. Ja się tym zajmę.

– To byłoby poświęcenie z pani strony. Wie pani dobrze, panno Łucjo, że takiej ofiary przyjąć nie mogę.

– Ależ to żadna ofiara. Wydzielili mi pan za to część honorarium autorskiego. Albo na przykład umieści pan przy swoim nazwisku moje. „Przy współpracy dr Łucji Kańskiej”. Ten zaszczyt to nie byle co.

Po długich naleganiach Łucji Wilczur, acz niechętnie, zdecydował się wreszcie i już nazajutrz rozpoczęli pracę. Przychodziła zwykle w godzinach poobiednich. Razem porządkowali rękopis, notowali braki, wykreślali z czasopism fachowych szczegóły bibliograficzne. Przed wieczorem gawędzili przy kawie, po czym Łucja żegnała profesora, by następnego dnia zjawić się z plikiem notatek czy książek wybranych z biblioteki.

Praca posuwała się opornie, wbrew przewidywaniom Łucji depresja Wilczura nie mijała. Nieraz odkładał pióro i wpadał w kilkugodzinne zadumy, po których nie był już zdolny nie tylko do pracy, lecz nawet i do rozmowy z Łucją.

Pewnego dnia zastała go pijanego. Była bliska rozpacz, wciąż jednak nadrabiała miną i wciąż wierzyła niezłomnie, że stanie się coś, co zmieni sytuację, zmieni usposobienie Wilczura.

Tak minęły dwa miesiące. Czas upływał Łucji między pracą dla profesora a zajęciami w lecznicy i zabiegami o pracę w jakimś innym zakładzie, wprawdzie bowiem ze strony profesora Dobranieckiego nie spotykały jej przewidywane przez nią na początku szykany, czuła się tam jednak fatalnie. Pozornie w lecznicy wszystko szło dawnym trybem, nie następowały żadne zmiany ani przesunięcia. Jednakże atmosfera była zupełnie inna. Wrażliwsi, a do nich należała Łucja, wyczuwali to na każdym kroku. Nazwiska Wilczura nikt tu nigdy nie wspominał. W tym milczeniu wyrażał się jakby wstyd, że oto tak łatwo wyparli się go, wyrzekli, zapomnieli.

Z Kolskim stykała się nieco rzadziej. Od czasu ich decydującej rozmowy nie starał się powrócić do tego tematu, lecz nie zmienił się dla niej. O sprawach prywatnych nie mówili ze sobą wcale. Dlatego też nie wiedział, że Łucja współpracuje z profesorem Wilczurem. Nie wiedział też, że poszukuje innej posady. Tylko raz, gdy ją mimochodem zapewnił po rozmowie z Dobranieckim, że jej stanowisko w lecznicy nie jest bynajmniej zachwiane, odpowiedziała krótko:

– Nie zależy mi na tym.

W istocie musiało jej zależeć. Nadmiar lekarzy w Warszawie sprawił to, że o posadę było niezmiernie trudno. Jak dotychczas odwiedziła kilkadziesiąt instytucji bez skutku. Zapisywano jej adres, telefon i obiecywano zawiadomić, gdyby wakans się otworzył.

Tymczasem przyszedł marzec, a z nim wczesna tego roku

wiosna. Na ulicach coraz więcej widywało się kobiet w kostiumach i mężczyzn w marynarkach. Drzewa wypuszczały pierwsze pączki, niektóre krzewy już zieleniły się z lekka.

Jednocześnie Łucja nie mogła nie zauważyć, że z dniem każdym profesor staje się coraz bardziej posepny i że pogarsza się też jego wygląd. Postanowiła wyciągać go też na spacer. Początkowo nie chciał o tym ani słyszeć. Zgodził się wreszcie pod warunkiem, że będą wychodzili wieczorami, unikając tych dzielnic, gdzie mogliby spotkać znajomych.

– Na wsi teraz musi być pięknie... Czy pani zna wiosnę na wsi?

– Mgliście ją sobie tylko przypominam z okresu dzieciństwa.

– To wiele pani straciła. Wiosna na wsi... Ziemia pachnie, rozumie pani? Ziemia pachnie i powietrze pachnie. Ptaki. Dużo ptaków. Zakłopotane, zaaferowane latają, ćwierkają, śpieszą się, dźwigają jakieś źdźbła, jakieś słomki, jakieś kłaczki mchu... A skowronki wysoko na niebie... I krowy wypędzają na pastwisko... Niebo takie jasnoblękitne... Spędziłem takich kilka wiosen na dalekich kresach, na Białorusi... Była pani tam kiedy?

– Nie, nigdy.

– Cichy kraj, piękny kraj. Ziemia lekko faluje pagórkami, między nimi leżą jeziora, lasy gęste, podszyte jałowcem i leszczyną. Chaty słomą kryte... Nie wszystkie. Te zamożniejsze gontem lub dranicą. Ale na ogół biedota. Biedni ludzie, ubodzy, prości... Dobrzy ludzie. O, że też nie przypomniało mi się

to, kiedy rozmawiał z Jemiołem. On twierdził, że wszyscy ludzie są źli. Ale on mówił o mieście. O! Poznałby tamten kraj, poznałby tamtych ludzi... Może i miał rację. Miasto to potwór. Oddzieliło człowieka od ziemi asfaltem i betonem. Skądże ma czerpać uczucia? Uczucia idą z ziemi jak wszystkie soki żywotne. W mieście wysychają, kruszą się, zamieniają się w pył, zostaje tylko mózg rozgorączkowany walką o byt, mózg, który niezdolny jest do myślenia, jeno do kom-bi-no-wa-nia! Do planowania jakichś machinacji. Aby prędzej, aby więcej, aby przebieglej. Człowiek nie widzi siebie, nie widzi świata. Niech pani spojrzy na te domy. Zastłaniają widnokrąg. Otaczają nas ze wszystkich stron... Zostają tylko małe otwory, jakby tunele, którymi możemy się wydostać z wnętrza tego potwora. Kilka szos, kilka torów kolejowych.

Zamyślił się, a po chwili mówił dalej:

– Jest na kresach takie małe miasteczko. Nazywa się Radoliszki. Kilka uliczek, kościółek, drewniana cerkiewka i coś tysiąc czy dwa tysiące mieszkańców. Przez Radoliszki idzie trakt szeroki, wysadzany starymi brzożami, brzoży grube, sękaty, pokrzywione, korę mają ze starości popękana, szorstką. Trakt niby bity, ale jesienią i wiosną kałuże na nim stoją, a latem tumany kurzu wiatr zrywa. Za miasteczkiem trakt skręca na południe i już po kilku minutach widać z daleka młyn, młyn starego Prokopa Mielnika. Młyn leży nad stawami, nad trzema stawami, to młyn wodny. Jeden staw jest wielki, gęsto obrosnięty wierzbina i łozami, drugi mniejszy w kształcie jakby nerki. Tu

brzegi są łagodne, łąka spadzisto spływa aż do samej prawie wody, dno piaszczyste, tu baby na desce kijankami piorą bieliznę, a po drugiej stronie, gdzie bujnie krzewi się olcha, kąpią się... Ale to dopiero od świętego Jana. Wierzą tam, że wcześniejsza kąpiel nie może wyjść na zdrowie... Natomiast dolny staw jest okrągły, tak jakby go ktoś cyrklem wymierzył. Tu pławi się konie i poi się bydło. Z szumem spada kaskada pieniącej się wody, a z góry dobiega nieustannie warczenie żarn. Po stawach pływają gęsi i kaczki, czasem siądzie na wodzie cyranka lub łabędź przelotny, lub nurek. Młyn Prokopa Mielnika... Dobrzy ludzie, prości ludzie. Od trzech lat tam nie byłem. O, tam pamiętają mnie na pewno. Dla nich nie byłem człowiekiem niepotrzebnym. Dla nich nie byłem zawadą...

Zamyślił się.

– Nie tęskni pan za nimi? – zapytała Łucja.

– Co pani mówi? – Ocknął się.

– Pytałam, czy pan za nimi nie tęskni.

Twarz Wilczura rozjaśniła się uśmiechem.

– Chciałbym ich zobaczyć. Wiele się tam musiało pozmieniać.

Trzy lata. Wasyl pewno się ożenił, Natałka podrosła. Olga i Zonia pewno też znalazły sobie mężów... Pocziwe baby.

Zaśmiał się i odwrócił do Łucji.

– Zonia nawet gwałtem wybierała się za mnie... Toż by była radość, gdybym tam zajechał...

Łucja pomyślała, że istotnie taka przejażdżka do owych Radoliszek, które tak ciepło wspomina, zrobiłaby doskonale

profesorowi. Wpłynęłaby kojąco na jego nerwy, pozwoliła oderwać się od niedawnych przeżyć. Wróciłby z niej odświeżony i z nowym zapasem energii.

– Wie pan co, profesorze, a dlaczego nie miałby pan ich odwiedzić? – powiedziała.

– Odwiedzić? – zdziwił się profesor.

– No, tak. Mówi pan o nich z takim ciepłem, wspomina pan ich tak mile. Byłaby to dla pana przyjemna rozrywka. Od tak dawna nie wyjeżdżał pan z Warszawy.

Wilczur spojrział na nią.

– Ha – powiedział – chce pani pozbyć się mnie bodaj na krótko.

Zaśmiała się.

– Właśnie. Chcę się pozbyć pana. Widzi profesor, jaka jestem bezinteresowna. Namawiam pana do tej wycieczki, chociaż wiem, że tam, pod Radoliszkami, czyha na pana owa Sonia czy Zonia.

Śmieli się oboje. Profesor od dawna nie był w tak dobrym humorze i Łucja zdawała sobie sprawę, że w nastrój ten wprawiły go wspomnienia o owym młynie. Postanowiła kuć żelazo póki gorące.

– Serio, nie widzę żadnego powodu, dla którego miałby pan odmawiać sobie tej przyjemności.

– A wie pani, że to wcale nie jest zła myśl, i sędzę, że tam ucieszyliby się z moich odwiedzin.

– A pan rozerwałby się trochę, obejrzał stare kąty, które tak

lubi, odetchnął innym powietrzem. Właściwie mówiąc, nic pana nie trzyma teraz w Warszawie. A mamy taką śliczną wiosnę.

Od tego dnia pomysł Łucji nie dawał Wilczurowi spokoju. Rzeczywiście perspektywa odwiedzin w młynie Prokopa wydawała mu się coraz ponętniejsza. Był ożywiony, opowiadał Łucji coraz to nowe szczegóły o młynie i o swoim tam bytowaniu. Po tygodniu, ustawicznie zachęcany przez nią, powiedział jej wreszcie któregoś dnia:

– Zdecydowałem się. Jadę do Radoliszek. Musimy tylko przedtem dokończyć zbierania materiału do pierwszego tomu, a uporządkuje to już pani podczas mojej nieobecności.

Ucieszyła się bardzo tym jego postanowieniem i ze zdwojoną gorliwością zabrała się do pracy. Pomimo pośpiechu stało się widoczne, że przeciągnie się ona co najmniej na miesiąc, co napełniało Łucję obawą, że tymczasem profesor może zmienić postanowienie.

I stało się tak rzeczywiście, lecz w kierunku zgoła nieprzewidywanym.

Oto pewnego dnia, gdy Łucja jak zwykle po południu przyszła, zastała w gabinecie profesora niebywały nieład. Wszystkie szuflady były pootwierane, na otomanie piętrzyły się stosy książek, na parapecie okien stały pootwierane kasety chirurgiczne.

– Co się stało? – zapytała zdumiona.

Wilczur zerwał się od biurka z wyrazem rozradowania i podniecenia na twarzy. Zapomniał nawet przywitać się z nią.

– Panno Łucjo – powiedział tonem uroczystym – znalazłem. Znalazłem wyjście dla siebie i wiem teraz już, co zrobię, i wiem, po co żyję. Porzucam Warszawę na zawsze. Tak, panno Łucjo. Byłem szalony czy otumaniony, żem wcześniej tego nie rozumiał. Tak, powracam do nich. Już na zawsze. Tu wmówiono we mnie, że jestem nieprzydatny, ale tam, tam, wiem, że będę potrzebny. Tam dowiodę sobie i innym, że nie jestem bezużytecznym rupieciem, że jeszcze mogę pracować, długie lata pracować dla dobra ludzi. Tylko nie tych tutejszych, złych ludzi złego miasta. Przecież tam byłem taki szczęśliwy. Widzi pani, co to jest miasto. Zatruiwa, ogłupia. Wśród tych ulic, tego zgiełku, pośpiechu, namiętności człowiek zapomina o tym, czym sam jest, zapomina o swoich upodobaniach i pragnieniach. Dostałem się w ten wir i jak opętany kręciłem się w nim, nie mogąc sobie uświadomić, że przecież nie tu jest moje miejsce, że wszystko mnie pociąga tam, do tamtych!

Podniecony chodził po pokoju, mówiąc:

– Już wszystko sobie ułożyłem. Sprzedaję rzeczy, meble, bibliotekę, różne graty, osiągnę w ten sposób taką sumkę, że będę mógł za te pieniądze jako tako urządzić sobie małe ambulatorium w młynie, podręczną apteczkę i temu podobne rzeczy. Nie może pani sobie wyobrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy. Tam w całej okolicy jest tylko jeden lekarz, który w dodatku klepie biedę i nie może sobie pozwalać na darmowe leczenie chłopów. Zresztą on nie jest chirurgiem. Przypomną się im wszystkim dawne czasy, czasy mego znachorstwa, tylko

że teraz będzie to zupełnie inaczej. Będę dysponował środkami dezynfekcyjnymi i pierwszorzędnymi instrumentami. Ho, ho, dużo tam na pewno znajdę roboty. Już teraz przypomniało mi się, że córka gajowego z radoliskich lasów ma guz na wątrobie od strony wewnętrznej, rozumie pani? Oczywiście, nie mogłem jej nic pomóc, nie rozporządzając przyzwoitymi narzędziami. Ale teraz spróbuję. Minęły trzy lata. Może jeszcze żyje.

Łucja stała nieruchomo i wodziła za nim przerażonym spojrzeniem. Mówił coś dalej, ale już tego nie słyszała, całkowicie opanowana myślą, że on wyjedzie, że wyjedzie na zawsze, że nie będzie go mogła codziennie widywać, pomagać mu, czuwać nad nim, dbać o jego sprawy, o jego zdrowie. Goryczą też napełniała ją świadomość, że powziął postanowienie wyjazdu i nie zastanowił się nawet, jakim to dla niej będzie ciosem. I nie przyszło mu do głowy, jak bardzo będzie cierpieła nad tym. Nie pomyślał o niej, nie wziął jej w rachubę. Oto i teraz zdawał się jej nie dostrzegać. Przemierzał szybkimi krokami pokój na ukos i mówił:

– Popełniłem szalony błąd, że w ogóle stamtąd wyjechałem. Bo i po co, po co, skoro mi tam było tak dobrze. Tam moje miejsce, tam odetchnę od tego miasta, tam znajdę ufność i przywiązanie. Otóż to. W tym tkwi szczęście, a jeżeli nie szczęście, to w każdym razie poczucie zadowolenia, poczucie przydatności. To bodaj na jedno wychodzi.

Mówił o nich, mówił o sobie, tylko o niej nie wspomniał wcale. Łucja jednak nie zaliczała siebie do tych kobiet, które

łatwo rezygnują z pozycji na pozór przegranych. Gdzieś w podświadomości zrodziła się nagle decyzja. Już w następnej chwili myśl skonkretyzowała się w słowach:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.